



Joseph Conrad

*TAJFUN*

Joseph Conrad

# TAJFUN

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

# Spis treści

[I](#)  
[II](#)  
[III](#)  
[IV](#)  
[V](#)  
[VI](#)

# TAJFUN

Joseph Conrad

I

Kapitan MacWhirr z parowca "Nan-Shan" miał oblicze, które w świecie zjawisk fizycznych stanowiło dokładny odpowiednik jego umysłu: nie odznaczało się ani stanowczością, ani głupotą; nie posiadało żadnych cech wybitnych; było po prostu zwyczajne, beznamietne i niewzruszone.

Jego wygląd mógł czasami sugerować co najwyżej nieśmiałość, kiedy przesiadywał w różnych biurach na ładzie, ze słabym uśmiechem na opalonej twarzy i spuszczonej oczyma. Skoro je podniósł, widać było, że są błękitne i patrzą prosto na rozmówcę. Włosy jasne i nadzwyczaj cienkie obejmowały od skroni do skroni łysą kopułę czaszki niby kępa puszystego jedwabiu. Natomiast zarost twarzy, koloru płomiennej marchwi, wyglądał jak szczeń miedzianego drutu przycięta krótko nad linią ust; i choćby nie wiedzieć jak gładko się ogolił, kiedy tylko poruszył głowę, ogniste, metaliczne błyski przebiegały mu po policzkach. Wzrostu był mniej niż średniego, o plecach lekko zaokrąglonych, a kończynach zbudowanych tak mocno, że ubrania wydawały się zwykle odrobinę przyciasne na nogach i ramionach. Jakby niezdolny pojąć różnicy klimatów na rozmaitych szerokościach geograficznych, nosił zawsze brązowy melonik, brązowy garnitur i ciężkie czarne buty. Ten portowy strój nadawał jego krępej postaci wygląd sztywnej, niezgrabnej elegancji. Cienki srebrny łańcuszek zegarka zwisał na kamizelce, a kiedy schodził na ląd, nieodmiennie ścisnął w potężnej, owłosionej ręce swój elegancki parasol w najlepszym gatunku, ale zazwyczaj nie zwinięty. Młody Jukes, pierwszy oficer, odprowadzając dowódcę do trapu, zdobywał się czasami na delikatną uwagę: "Pan pozwoli, panie kapitanie" - i wzięwszy z szacunkiem parasol, unosił drążek, potrząsał fałdami, w mgnieniu oka dokładnie je skręcał i oddawał kapitanowi; a minę miał przy tym tak uroczystą, że pan Salomon Rout, pierwszy mechanik, paląc nad świetlikiem swoje poranne cygaro, odwracał głowę, aby ukryć uśmiech. "Atak! Ten przeklęty drapak... Dziękuję panu, dziękuję" - bąkał kapitan serdecznie, nie podnosząc oczu. Mając tyle tylko wyobraźni, ile trzeba na przeżycie każdego poszczególnego dnia, był spokojny i pewien siebie: z tego samego powodu nie było w nim ani trochę zarozumiałości. Zwierzchnik obdarzony wyobraźnią bywa obraźliwy, wyniosły i trudno go zadowolić; każdy zaś statek dowodzony przez kapitana MacWhirra był pływającym siedliskiem zgody i spokoju. Prawdę mówiąc kapitanowi równie trudno byłoby ulec jakiemuś wybrykowi fantazji, co zegarmistrzowi złożyć

chronometr bez żadnych narzędzi prócz dwufuntowego młota i piły. A jednak nieciekawe życie ludzi całkowicie pochłoniętych sprawami bieżącej chwili posiada również swoje tajemnice. Na przykład w wypadku kapitana MacWhirra nie można było w żaden sposób zrozumieć, co skłoniło do ucieczki na morze tego całkiem udanego syna drobnego sklepikarza z Belfastu. A przecież to właśnie zrobił, kiedy miał piętnaście lat. Wystarczyło się nad tym zastanowić, by wyobrazić sobie jakąś olbrzymią, potężną a niewidzialną rękę, która wsuwa się w ziemskie mrowisko, chwyta za ramiona, uderza głowami o głowy i pcha nieświadomych ludzi w kierunku niezrozumiałych celów, w strony, o których im się nawet nie śniło.

Ojciec nigdy mu w gruncie rzeczy nie wybaczył tego głupiego nieposłuszeństwa. "Moglibyśmy się obejść bez niego - mawiał później - ale mamy przecież sklep, a to nasz jedyny syn"! Po jego zniknięciu matka bardzo płakała. Ponieważ nie przyszło mu na myśl zostawić jakąś wiadomość o sobie, opłakiwano go jako zmarłego, dopóki po ośmiu miesiącach nie przyszedł pierwszy list z Talcahuano. Był krótki i zawierał stwierdzenie: "Mieliśmy bardzo piękną pogodę podczas rejsu". Widocznie jednak w przekonaniu piszącego jedyną ważną wiadomość stanowił fakt, że tegoż dnia kapitan wciągnął go na listę stałej załogi w stopniu zwykłego marynarza. "Bo umiem pracować" - wyjaśnił. Matka znowu zalała się łzami, a ojciec wyraził swoje uczucia słowami: "Tom jest osłem". Był to zażywny mężczyzna skłonny do żartobliwych kpín, które do końca życia uprawiał w stosunku do syna, traktując go z lekkim politowaniem, jak osobę niespełna rozumu.

Wizyty MacWhirra w domu były z konieczności rzadkie, ale w miarę jak mijały lata, wysyłał rodzicom dalsze listy, zawiadamiając ich o swoich awansach i podróżach po szerokim świecie. Były w tych listach takie zdania: "okropny jest tu upał" albo "w dzień Bożego Narodzenia o czwartej po południu napotkaliśmy góry lodowe". Starzy rodzice poznali w ten sposób nazwy wielu statków, nazwiska kapitanów, którzy nimi dowodzili, nazwiska szkockich i angielskich armatorów, nazwy mórz, oceanów, cieśnin, przylądków, obce nazwy portów drzewnych, portów ryżowych, portów bawełnianych, nazwy wysp i - imię jego dziewczyny. Nazywała się Lucy. Nie wpadł na pomysł, by napisać, czy mu się to imię podoba. A potem starzy zmarli. W odpowiednim czasie nastąpił wielki dzień ślubu MacWhirra, wkrótce po wielkim dniu, kiedy otrzymał swoje pierwsze dowództwo.

Wszystko to wydarzyło się na wiele lat przed owym rankiem, kiedy w kabinie nawigacyjnej parowca "Nan-Shan" stwierdził, że barometr, któremu nie miał powodu nie ufać - spada.

Spadek barometru - biorąc pod uwagę precyzję instrumentu, porę roku i położenie statku na kuli ziemskiej - nie wróżył nic dobrego, ale czerwona twarz kapitana nie zdradzała wewnętrznego niepokoju. Wróżby dla niego nie istniały i nie pojmował ich treści, dopokąd nie stanął oko w oko z przepowiedzianym

faktem. "Barometr spada, to nie ulega wątpliwości - pomyślał. - Widocznie gdzieś w okolicy tłucze się wyjątkowo paskudna pogoda". "Nan-Shan" płynął z południa do wolnego portu Fuczou, wioząc towar w dolnych ładowniach i dwustu chińskich kulisów powracających po kilku latach pracy w rozmaitych podzwrotnikowych koloniach do swoich wiosek w prowincji Fokien.

Ranek był piękny, oleiste morze falowało gładko bez roziskrzeń, a na niebie widać było dziwną, białą, mglistą plamę podobną do słonecznej aureoli. Przedni pokład zapchany był Chińczykami: ciemne ubrania, żółte twarze, warkoczyki, wszystko to poprzetykane nagością ramion, bo wiatru nie było i panował duszny upał. Kulisi wylegiwali się, gadali, palili lub stali, gapiąc się za burtę; niektórzy czerpali wodę z morza i oblewali się wzajemnie. Paru spało na pokrywach luków, a kilka grup, po szczęściu, przykucniętych na piętach otaczało żelazne tace z ryżem i maleńkimi filiżankami herbaty; każdy zaś z tych obywateli Państwa Niebieskiego wiózł ze sobą wszystko, co posiadał na świecie - drewniany kuferek z brzęczącym zamkiem i miedzianymi okuciami na rogach zawierał zdobycze pracy: parę szat ceremonialnych, kilka pałeczek kadzidła, może nieco opium, jakieś bezwartościowe drobiazgi i niewielki zapas srebrnych dolarów zarobionych w trudzie na barkach węglowych, zdobytych hazardem lub drobnym handlem, wydartych pazurami ziemi, wypoconych w kopalniach, na liniach kolejowych, w zabójczych dżunglach, pod ciężarem ładunków - nagromadzone cierpliwie, ukrywane starannie, strzeżone zawzięcie.

Okolo dziesiątej krzyżująca się martwa fala nadpłynęła od strony Cieśniny Formoskiej, nie wzbudzając zbytniego niepokoju wśród pasażerów, bo "Nan-Shan" był bardzo szeroki, miał płaskie dno i boczne stępki przeciwprzechyłowe, a w ogóle znany był jako okręt wyjątkowo stateczny. Pan Jukes, w chwilach wylewności na lądzie, oświadczał, że "stara krypa jest tak samo solidna jak i śliczna". Kapitanowi MacWhirrowi nawet do głowy by nie przyszło wyrażać głośno podobnie wyszukane pochwały.

Statek był z pewnością dobry, a przy tym względnie nowy. Zbudowano go w Dumbarton przed trzema laty na zamówienie firmy handlowej w Syjamie, "Bracia Sigg i Syn". Kiedy unosił się już na wodzie całkowicie wykończony i gotów do rozpoczęcia swoich życiowych zadań, właściciele stoczni przyglądali mu się z dumą.

-Sigg prosił, żebyśmy mu znaleźli odpowiedzialnego kapitana, który by zabrał stąd statek - odezwał się jeden ze współników; drugi zaś, po chwili zastanowienia, odpowiedział: - Zdaje mi się, że MacWhirr jest właśnie na lądzie. - Tak? To wyślij mu zaraz telegram. To akurat człowiek, jakiego nam potrzeba - bez chwili wahania oświadczył starszy. Następnego ranka MacWhirr stanął przed nimi, jak zwykle spokojny; przyjechał z Londynu nocnym ekspresem, pożegnawszy się z żoną nagle i bez wylewności. Pani MacWhirr pochodziła z dobrej rodziny, której siękiedyś lepiej powodziło.

- Obejrzyjmy teraz statek, kapitanie - powiedział starszy współnik i trzej

mężczyźni udali się na oględziny wszystkich doskonałości "Nan-Shanu" od dziobu do rufy i od dna ładowni do szczytów dwóch przysadzistych masztów.

Kapitan MacWhirr zaczął od zdjęcia palta, które powiesił na kotwicznej windzie parowej, wyposażonej we wszelkie ostatnie udoskonalenia.

- Wuj polecił pana wczoraj listownie naszym dobrym znajomym, wie pan - Braciom Sigg, i na pewno zatrzymają tam pana na stanowisku - powiedział młodszy wspólnik. - Będzie się pan mógł szczycić, panie kapitanie, dowodząc najbardziej sprawnym statkiem tych rozmiarów na wodach chińskich - dodał.

- Napisaliście, panowie? Dziękuję... - bąknął niewyraźnie MacWhirr, na którym odległa perspektywa takiej możliwości nie zrobiła większego wrażenia niż piękno rozległego krajobrazu na krótkowzrocznym turyście; a jego oczy spoczywały właśnie na zamku od drzwi kabiny, do której zbliżył się zdecydowanym krokiem i, energicznie potrząsając klamką, powiedział swoim cichym, poważnym głosem: - W dzisiejszych czasach rzemieślnikom nie można ufać. Nowiutki zamek i nie działa. Zaciął się. Proszę. Proszę zobaczyć! Skoro tylko wspólnicy zostali sami w swoim biurze po przeciwnej stronie stocznioowego placu, siostrzeniec zapytał z odcieniem pogardy w głosie:

- Chwaliłeś tego człowieka przed Siggim, ale co ty w nim właściwie widzisz, wuju?

- Przyznaję, że nie ma w nim nic z romantycznego kapitana, jeśli o to ci chodzi - odpowiedział oschle starszy. - Czy jest tam gdzie mistrz stolarski z "Nan-Shanu"?... Wejdźcie, Bates. Jak to się stało, żeście dopuścili, żeby ludzie Taita wsadzili wadliwy zamek do drzwi kabiny? Kapitan od razu to zauważył, tylko spojrzął. Proszę zamek natychmiast wymienić. Drobiazgi, Bates... pamiętajcie o drobiazgach...

Zamek został wymieniony jak należy i parę dni później "Nan-Shan" wypłynął na Wschód. MacWhirr nie robił już żadnych uwag na temat wyposażenia i nie słyszano również, aby powiedział choć jedno słowo, zdradzające, że jest dumny z okrętu, wdzięczny za nominację albo zadowolony z widoków na przyszłość.

Nie był z usposobienia ani gadatliwy, ani milczący, ale rzadko kiedy widział powód do odezwania się. Były oczywiście tematy służbowe - wskazówki, rozkazy i tym podobne; ale w jego mniemaniu przeszłość była załatwiona, a przyszłość jeszcze nieobecna, zaś bardziej ogólne sprawy bieżące nie wymagały komentarzy, fakty bowiem mogą mówić same za siebie z przytłaczającą precyzją.

Stary Sigg lubił ludzi małomównych i takich, "co do których można mieć pewność, że nie będą próbowali udoskonalać danych im instrukcji". MacWhirr czynił zadość tym wymaganiom, został więc zatwierdzony na stanowisku kapitana i odtąd poświęcał się całkowicie ostrożnemu nawigowaniu "Nan-Shanem" po wodach chińskich. Na początku statek był zarejestrowany jako

brytyjski, ale po pewnym czasie Bracia Sigg uznali za stosowne przenieść go pod banderę syjamską.

Na wiadomość o projektowanej zmianie Jukes stał się niespokojny, jakby stanowiło to dla niego osobistą obrazę. Łaził, mrużąc coś do siebie pod nosem i wybuchając od czasu do czasu pogardliwym śmiechem.

- Coś podobnego - jakiś idiotyczny słoń z Arki Noego na banderze statku - powiedział raz w drzwiach maszynowni. - Niech mnie diabli... jeśli to zniosę. Cisnę to wszystko. A pan? Panu się niedobrze nie robi? - Pierwszy mechanik chrząknął tylko z miną człowieka, który umie ocenić dobrą posadę. Pierwszego rana, kiedy nowa bandera powiewała na rufie "Nan-Shanu", Jukes z niesmakiem przyglądał się jej z mostka. Walczył przez chwilę z własnymi uczuciami, a potem zauważył:

- Dziwnie pływać pod taką banderą, panie kapitanie.

- Czy coś nie tak, jak trzeba? - zapytał kapitan MacWhirr. - Wydaje mi się zupełnie w porządku.

- I przeszedł na skrzydło mostka, by się lepiej przyjrzeć.

- Dla mnie jest dziwaczna - wybuchł Jukes i wyprowadzony z równowagi, zbiegł z mostka.

Kapitan MacWhirr zdumiał się tym zachowaniem. Po chwili wszedł spokojnie do kabiny nawigacyjnej i otworzył swój Międzynarodowy Kod Sygnałowy w miejscu, gdzie w jaskrawych kolorach przedstawione są dokładnie flagi wszystkich narodów. Przesuwał po nich palcem i natrafiwszy na Syjam, wpatrzył się z wielką uwagą w czerwone pole i białego słonia. Nie mogło być nic prostszego, ale dla pewności zabrał książkę na mostek, żeby porównać kolorowy rysunek z prawdziwą banderą na drzewcu flagowym na rufie. Kiedy Jukes, który tego dnia spełniał swoje obowiązki z hamowaną wściekłością, pojawił się na mostku, kapitan zauważył:

- Nic tej banderze nie brakuje.

- Rzeczywiście? - wybełkotał Jukes, klękając z rozmachem przed skrzynią, skąd z furią wyszarpał zapasową linkę sondy.

- Tak. Sprawdziłem w książce. Dwa razy tak długa jak szeroka i słoń dokładnie pośrodku. Byłem pewien, że tutejsi ludzie potrafią zrobić banderę własnego kraju. To przecież jasne. Nie miał pan racji...

- Ale, panie kapitanie - zaczął Jukes, wstając podniecony - mogę tylko powiedzieć... - trzęsącymi rękoma szukał w zwoju końca linki.

- Już dobrze, dobrze - uspokoił go kapitan MacWhirr, siadając ciężko na swoim ulubionym płóciennym składanym krześle. - Musi pan tylko pilnować, żeby nie wciągali słonia do góry nogami, zanim się nie przyzwyczają.

Jukes przerzucił nową linkę sondową na przedni pokład, wołając głośno:

-Macie ją, bosmanie-nie zapomnijcie dobrze jej zmoczyć - i z gwałtowną



stanowczością zwrócił się do dowódcy; ale kapitan MacWhirr rozparł się już wygodnie łokciami na poręczy skrzydła.

- Bo przypuszczam, że to mogłoby być zrozumiane jako sygnał wzywania pomocy - ciągnął.

- Jak pan sądzi? Myślę, że ten słoń przedstawia coś w rodzaju Union Jacka na banderze...

- Czyżby? - wrzasnął Jukes, tak że wszystkie głowy na pokładach "Nan-Shanu" zwróciły się ku mostkowi. Potem westchnął i z nagłą rezygnacją w głosie dodał łagodnie: - Z pewnością to by okropnie wyglądało.

Później tego samego dnia zaczął pierwszego mechanika, szepcząc poufnie:

- Słuchaj no. Opowiem ci ostatni wyczyn starego.

Pan Salomon Rout (często zwany Długim Salem, Starym Salem albo Papą Routem), jako że na wszystkich statkach bywał prawie zawsze najwyższym członkiem załogi, wyrobił w sobie postawę niefrasobliwej pobłażliwości. Włosy miał rzadkie, piaskowego koloru, blade płaskie policzki, kościste przeguby i wąskie dłonie naukowca - również blade, jak gdyby całe życie spędził w cieniu.

Uśmiechnął się ze swoich wyżyn do Jukesa i dalej palił, rozglądając się spokojnie wokół, niby dobry wujaszek gotowy wysłuchać opowiadania podnieconego uczniaka. Potem, wielce ubawiony, choć bynajmniej nie wytrącony z równowagi, spytał:

- No i rzucił pan posadę?

- Nie - wyrzucił z siebie Jukes znużonym, zniechęconym głosem, usiłując przekrzyczeć przykry warkot wind ładunkowych "Nan-Shanu". Pracowały wszystkie pełną parą, porywając unosy towaru i wznosząc wysoko aż do końca długich żurawi, jakby tylko po to, żeby je w biegu niedbale porzucać. Łańcuchy stropów zgrzytały na blokach, brzęczały na zrębnicach, obijały się łoskotem po burcie; cały statek dygotał, a jego długie, szare burty spowite były w kłęby pary.

- Nie - krzyknął Jukes - nie wymówiłem. Co by to dało? Równie dobrze mógłbym rzucić swoją dymisję o tę grodź. Nie wierzę, aby taki człowiek mógł cokolwiek zrozumieć.

On mnie po prostu wykańcza.

Właśnie w tej chwili ukazał się na pokładzie powracający z lądu kapitan MacWhirr z parasolem w ręce; za nim szedł posepny, opanowany Chińczyk w jedwabnych pantoflach na papierowych podszewkach, również trzymający parasol.

Kapitan "Nan-Shanu", który swoim zwyczajem mówił cicho, spoglądając na własne buty, oznajmił, że tym razem muszą zawinąć do Fuczou, więc pan Rout ma mieć statek pod parą jutro punktualnie o pierwszej. Zsunął kapelusz, by otrzeć pot z czoła, i oświadczył, że nie cierpi schodzenia na ląd; górujący nad

nim pan Rout nie raczył powiedzieć słowa i palił z powagą, opierając swój prawy łokieć na lewej dłoni. Potem tym samym przytłumionym głosem kapitan zakomunikował Jukesowi, że ma nie ładować przednich pomieszczeń międzypokładowych. Umieści się tam dwustu kulisów. Firma "Bun Hin" odsyła ich do domu. Sampan dowiezie zaraz dwadzieścia pięć worków ryżu do magazynu. Wszyscy ci ludzie wracają po siedmiu latach pracy i każdy wiezie kuferek z kamforowego drzewa - powiedział kapitan MacWhirr. Trzeba kazać cieśli poprzybijać trzycalowe listwy w rzędach wzdłuż międzypokładu, żeby skrzynie nie przesuwwały się podczas podróży. Lepiej niech się Jukes zajmie tym od razu. - Słyszysz pan, Jukes? Ten Chińczyk popłynie z nimi do Fuczou - będzie czymś w rodzaju tłumacza. Jest urzędnikiem Bun Hina i chce obejrzeć pomieszczenie. Niech go tam Jukes zaprowadzi. Słyszysz pan? Jukes pilnował się, by we właściwym momencie wtrącać przepisowe "Tak jest, panie kapitanie", choć mówił to bez entuzjazmu. Rzucił ostro: "Chodź no, John, zrobić, zobaczyć", i Chińczyk ruszył za nim krok w krok. - On chce patrzeć zobaczyć, to móc patrzeć zobaczyć - powiedział Jukes, który nie mając zdolności do obcych języków, przekręcał okropnie nawet żargon angielsko-chiński. Wskazał na otwarty luk. - On złapać prima kawałek miejsce do spać, ech? Był gburowaty, jak przystało jego wyższości rasowej, ale nie był nieprzyjazny. Chińczyk smutno i bez słowa spoglądał w mrok luku, jakby stał nad otwartym, ziejącym grobem. - Nie złapać deszcz tam w dół, rozumieć? - dodał Jukes. -

Jak cała taka piękna pogoda, jeden kawałek kulis wyjść na góra - ciągnął z ożywieniem. - Zrobić tak: Phuu! - Nabrał do płuc powietrza i wydał policzki. - Rozumiesz, John? Oddychać... świeże powietrze. Dobrze. Co? Prać swój kawałek portki, papu na góra... widzisz, John? Ruszał ustami i żywo gestykułował rękoma, naśladując jedzenie ryżu i pranie odzieży; Chińczyk zaś, pokrywając swoją nieufność wobec tej pantomimy spokojnym zachowaniem z odcieniem łagodnej, wytwornej melancholii, rzucał spojrzenia migdałowych oczu to na Jukesa, to na luk.

- Baldzo dobre - mruknął cicho strapionym głosem i spieszenie prześliznął się po pokładzie, wymijając przeszkody na drodze. Znikł, dając nura pod unoszących dziesięciu worków jutowych z jakimś cennym towarem, wydzielającym odrażający zapach. W tym czasie kapitan MacWhirr przeszedł na mostek, do kabiny nawigacyjnej, gdzie czekał nań rozpoczęty przed dwoma dniami list. Długie listy kapitana zaczynały się zawsze od słów: "Moja ukochana żono", a steward w przerwach między szorowaniem podłóg i odkurzaniem skrzynek z chronometrami łapał każdą okazję, by je czytać. Interesowały go o wiele bardziej niż kobietę, dla której oczu były przeznaczone, ponieważ zawierały drobiazgowo opisy każdej poszczególnej podróży "Nan-Shanu". Kapitan, wierny faktom, bo one jedynie znajdowały odbicie w jego świadomości, spisywał je pracowicie na wielu stronicach. Domek, do którego adresowane były te kartki, stał na północnym przedmieściu, miał skrawek ogródka przed wykuszem okiennym, szeroki, dobrze się prezentujący ganek i w drzwiach wejściowych

kolorowe szybki ujęte w ramki naśladowujące ołów. Płacił za to rocznie czterdzieści pięć funtów i nie uważał, że czynsz jest wygórowany, bo pani MacWhirr (pretensjonalna osoba o chudej szyi i pogardliwym sposobie bycia) uchodziła za wytworną damę i sąsiedzi uważali ją za "coś lepszego". Jedyną tajemnicę jej życia stanowił potworny lęk na myśl o powrocie męża na stałe do domu. Pod tym samym dachem mieszkała również córka Lydia i syn Tom. Oboje znali ojca bardzo słabo. Był on dla nich rzadkim, ale uprzywilejowanym gościem, który wieczorami palił fajkę w jadalni i sypiał w ich domu. Mizerna dziewczynka wstydziła się go w gruncie rzeczy, chłopak zaś był szczerze i całkowicie obojętny z niekłamana rozkoszną prostotą właściwą chłopięco-męskiej naturze. Kapitan MacWhirr pisywał z Chin do domu dwanaście razy na rok, wyrażając osobliwie sformułowane życzenia, by "polecić go pamięci dzieci", i podpisywał się "Twój kochający mąż" z takim spokojem, jak gdyby słowa te, używane od tak dawna przez tylu mężczyzn, były już tylko zużytą formułą o wyblakłym znaczeniu.

Chińskie morza na północy i południu są ciasne. Są to morza pełne zwyczajnych faktów, które mówią same za siebie - wysp, mielizn, raf, bystrych i zmiennych prądów - skomplikowanych zjawisk, które jednak przemawiają do marynarza językiem jasnym i precyzyjnym. Ich wymowa tak dalece odpowiadała poczuciu rzeczywistości kapitana MacWhirra, że wyniósł się ze swojej kabiny na dole i na dobrą sprawę całe dni spędzał na mostku, często jedząc tam posiłki i sypiając w kabinie nawigacyjnej. Tam też komponował swoje listy do domu. Każdy bez wyjątku zawierał zdanie: "mamy w tej podróży doskonałą pogodę", lub podobne stwierdzenie w tym sensie. I owo stwierdzenie, powtarzające się z zadziwiającą stałością, równie ściśle odpowiadało prawdzie jak wszystkie inne informacje zawarte w listach.

Pan Rout również pisywał listy; ale nikt na statku nie wiedział, jaki potrafi być rozgadany z piórem w ręku, bo pierwszy mechanik miał dosyć wyobraźni, żeby zamykać swoje biurko na klucz. Jego żona rozkoszowała się stylem tych listów. Byli małżeństwem bezdzietnym. Pani Rout, wesółą czterdziestoletnią kobietą, postawną i z wydatnym biustem, zajmowała wraz z bezzębną i sędziwą matką pana Routa mały domek koło Teddington. Podczas śniadania żywo przebiegała oczami list i rozbawionym głosem wykrzykiwała głuchej staruszce ciekawe fragmenty, poprzedzając każdy głośnym ostrzeżeniem: "Salomon powiada!" Miała też dar zaskakiwania obcych ludzi cytatami z Salomona, wprawiając ich w zdumienie nieznaną treścią i niespodziewanie żartobliwym tonem tych wypowiedzi. Kiedy nowy wikary przyszedł z pierwszą wizytą, skorzystała z okazji, by rzucić uwagę "Salomon powiada: «mechanicy pływający na statkach poznają dziwy marynarskiej natury»", aż urwała i wlepiła oczy w gościa, zauważywszy zmianę na jego twarzy. - Salomon... Ach!... Proszę pani - jąkał się młody człowiek, czerwieniejąc. - Muszę wyznać... że nie... - To mój mąż - wykrzyknęła, z rozmachem opierając się w krzesło. Uświadomiwszy sobie komizm sytuacji, pękała ze śmiechu, pocierając oczy chusteczką, podczas

gdy wikary siedział z wymuszonym uśmiechem na twarzy, ponieważ nie znając wesołych kobiet, pewien był, że ma do czynienia z osobą ciężko chorą umysłowo. Potem jednak zostali doskonałymi przyjaciółmi, bo kiedy przestał ją podejrzewać o celowy brak uszanowania, stwierdził, że jest osobą wielkiej zacności; z biegiem czasu nauczył się też bez mrugnięcia okiem wysłuchiwać innych urywków Salomonowej wiedzy. - Co do mnie - cytowała kiedyś pani Rout słowa męża - wolę jako kapitana najgłupszego ośła niż łobuza. Na głupca zawsze jest sposób, ale łobuz jest sprytny i wykrętny. - To wzniosłe uogólnienie odnosiło się do osoby kapitana MacWhirra, którego prawość była oczywista jak wielka bryła gliny. Pan Jukes zaś, który nie miał zdolności do uogólnień, a nie był ani żonaty, ani zaręczony, miał zwyczaj w inny sposób zwierzać się staremu koledze i dawnemu współtowarzyszowi w żegludze, obecnie drugiemu oficerowi na transatlantyku. Przede wszystkim rozwodził się na temat korzyści rejsów handlowych na Wschodzie, dając do zrozumienia, że górują one nad żeglugą atlantycką. Wychwalał niebo, morze, statki i łatwość życia na Dalekim Wschodzie. Twierdził, że "Nan-Shan" nie ustępuje żadnemu innemu statkowi.

"Nie mamy galonów na mundurach, ale jesteśmy tu sobie braćmi - pisał. - Jadamy wszyscy razem i karmią nas jak tuczniaki... Smoluchy są przyzwoici jak rzadko, a stary Sal, pierwszy mechanik, to nudna tyka. Jesteśmy w przyjaźni. Co do Starego, to trudno o spokojniejszego kapitana. Czasem się zdaje, że nie ma dość rozumu, by zauważyć niedociągnięcia. A jednak tak nie jest. Nie ma mowy. Jest kapitanem już od dobrych paru lat. Nie popełnił żadnego wyraźnego głupstwa i daje sobie radę ze statkiem, nikogo nie zdręczając. Wydaje mi się, że jest za tępy, żeby mu sprawiło przyjemność zrobienie awantury. Nigdy go nie nabieram. Wstydziłbym się. Zdaje się, że poza zwykłym tokiem zajęć nie rozumie nawet połowy z tego, co się do niego mówi. Czasem naśmiewamy się z niego, ale na dłuższą metę nudno przebywać z takim człowiekiem. Stary Sal twierdzi, że on nie jest bardzo rozmowny. Rozmowny! Boże, zmiłuj się! On w ogóle się nie odzywa. Któregoś dnia gadałem z jednym z mechaników, stojąc pod skrzydłem mostka, i widocznie musiał nas usłyszeć. Idę na górę objąć wachtę, a on wychodzi z kabiny nawigacyjnej, rozgląda się dookoła uważnie, zerka na światła burtowe, rzuca okiem na kompas, zezuje na gwiazdy. To jego zwykły obrządek. Po chwili mówi: «Czy to pan rozmawiał teraz na lewym korytarzu?» «Tak, panie kapitanie». «Z trzecim mechanikiem?» «Tak, panie kapitanie» Przechodzi na prawą burtę, zasiada na swoim składanym stołeczku pod osłoną przeciwwiatrową i przez chyba pół godziny nie daje znaku życia, tyle że usłyszałem, jak raz kichnął. Potem słyszę, jak wstaje i przechodzi do mnie na lewą burtę. «Nie pojmuję, skąd wy bierzecie tematy do rozmowy - mówi. - Przez bite dwie godziny. Nie mam o to pretensji. Ludzie na łodzi robią to całymi dniami, a wieczorem siadają i, popijając, gadają dalej. Chyba w kółko to samo. Nie pojmuję». Słyszałeś kiedy coś podobnego? A taki był przy tym cierpliwy. Zrobiło mi się go całkiem żal. Ale czasem bywa też nieznośny. Oczywiście człowiek nie zrobiłby mu nic na złość - nawet gdyby się to miało

udać. Ale i tak nie warto. On jest tak niebywale naiwny, że nawet gdybyś mu zagrał na nosie, to by się tylko głęboko zastanowił, co ci się stało. Powiedział mi raz całkiem po prostu, że trudno mu zrozumieć, dlaczego ludzie zawsze tak dziwnie się zachowują. Jest zbyt tępy, żeby się nim w ogóle przejmować, i to jest fakt".

Tak oto pisał Jukes do swego kolegi w żegludze atlantyckiej, otwierając przed nim swoje serce i puszczając wodze fantazji.

Dawał wyraz swoim głębokim przekonaniom. Nie warto było starać się zaimponować takiemu człowiekowi. Gdyby świat pełen był takich ludzi, życie stałoby się dla Jukesa zapewne nudne i pozbawione uroku. Nie był w swych poglądach odosobniony. Nawet morze zdawało się dzielić jego łagodną wyrozumiałość i nigdy nie usiłowało zaskoczyć tego milczącego człowieka, który rzadko podnosił wzrok i zasklepiony w swojej niewinności przemierzał oceany, mając tylko jeden wyraźny cel: zarobić na jedzenie, odzienie i dach nad głową dla trzech osób na łodzi. Oczywiście znał i sztormową pogodę. Bywał przemoknięty, nękany niewygodami i zwykłym zmęczeniem, które odczuwa się w danej chwili i szybko potem zapomina. Dlatego też jego wzmianki o pięknej pogodzie były, ogólnie biorąc, uzasadnione. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia o niezmiernie sile i dzikiej furii żywiołu, furii, która wyczerpuje się, ale nigdy nie zna zaspokożenia - gniewnej furii rozwścieczonego morza. Wiedział tylko, że istnieje, podobnie jak my wiemy o istnieniu przestępstw i podłości; słyszał o tym, podobnie jak miłujący spokój mieszkaniec miasta słyszy o bitwach, głodzie i powodziach, nie wiedząc, czym te klęski są naprawdę - choć mógł być nawet kiedyś wmieszany w uliczną awanturę, raz nie zjeść kolacji albo przemoknąć do szpiku kości w ulewnym deszczu. Kapitan MacWhirr pływał po powierzchni oceanów, jak niektórzy ludzie prześlizgują się po latach życia, by łagodnie zapaść w spokojny grób, nieświadomi życia do ostatka, nie widząc, ile w nim zdrady, brutalności i przerażenia. I na morzu, i na lądzie zdarzają się ludzie tak uprzywilejowani - lub tak lekceważeni przez los albo morze.

Widząc, że barometr stale spada, kapitan MacWhirr myślał sobie: „Jakaś paskudna pogoda tłucze się po okolicy”. Tak sobie właśnie pomyślał. Doświadczył już kiedyś dosyć paskudnej pogody - wyraz paskudna w odniesieniu do pogody oznacza umiarkowane tylko kłopoty dla marynarza. Gdyby dowiedział się z jakiegoś autorytatywnego źródła, że koniec świata nastąpi na skutek katastrofalnych zakłóceń atmosferycznych, przyjąłby tę wiadomość jedynie w sensie zapowiedzi paskudnej pogody, ponieważ nie znał dotychczas żadnych kataklizmów, a przekonanie nie musi iść w parze ze zrozumieniem. Mądrość jego ojczyzny znajdowała wyraz w ustawie parlamentarnej, zgodnie z którą, zanim uznano go za odpowiedzialnego dowódcę statku, musiał odpowiedzieć na pewne proste pytania dotyczące sztormów wirowych - jak huragany, cyklony, tajfuny; najwidoczniej odpowiedział na nie, skoro był teraz kapitanem "Nan-Shanu" na Morzu Chińskim, w sezonie tajfunów. Ale jeśli nawet kiedyś na te pytania odpowiedział, to teraz nic już nie pamiętał. Zdawał sobie jednak sprawę, że bardzo mu dokucza wilgotny upał. Wyszedł na mostek, ale i to nie przyniosło ulgi. Powietrze wydawało się gęste. Chwytał je z wysiłkiem jak ryba i zaczął podejrzewać, że mu dolega coś poważnego. "Nan-Shan" orał zanikającą bruzdę na powierzchni morza, które iskrzyło się jak kawałek falującego, szarego jedwabiu. Blade, bezpromienne słońce rzucało niezdecydowany blask, który spływał potokami ołowianego żaru, a Chińczycy na pokładach leżeli bez ruchu. Ich żółte twarze były bezkrwiste i wynędzniałe jak twarze ludzi chorych na wątrobę. Dwaj szczególnie, leżący na wznak pod mostkiem, zwrócili uwagę kapitana MacWhirra. Gdy tylko zamknęli oczy, wyglądali na nieżywych. Bliżej dziobu trzej inni kłócili się dziko; jeden wielki drab, na pół nagi, o herkulesowych barach, zwisał bezwładnie na windzie; inny siedział na pokładzie z kolanami podciągniętymi pod brodę i głową po dziewczęcemu przechyloną w bok, splatał swój warkocz z wyrazem bezgranicznej ociężałości, widocznej w całej postawie, a nawet w samych ruchach palców. Dym z trudem wydobywał się z komina i zamiast odpływać smugą, rozrastał się w jakąś piekielną, cuchnącą siarką chmurę, z której padał na pokłady deszcz sadzy.

- Cóż pan tu, do diabła, robi, Jukes? - spytał kapitan Mac Whirr. Ten niezwykle zwrot, choć wymamrotany raczej niż wypowiedziany, sprawił, że Jukes drgnął całym ciałem, jakby go ktoś dźgnął pod piątę zębem. Jukes siedział na niskiej ławeczce, którą kazał sobie przynieść na mostek. Zwój liny wił się u jego stóp, a na kolanach leżał rozpostarty kawałek płótna, w który wbijał energicznie igłę żaglową. Podniósł oczy na kapitana, a zdumienie nadało im wyraz szczerzej niewinności.

- Wszywam linę w te nowe worki, które zrobiliśmy w ostatniej podróży do wciągania węgla - tłumaczył się łagodnie. - Będą nam potrzebne przy

następnym ładowaniu węgla, panie kapitanie.

- Co się stało ze starymi?

- Już się w końcu zniszczyły, panie kapitanie. Kapitan MacWhirr wpatrywał się przez chwilę niezdecydowanie w swego pierwszego oficera, po czym wyraziwszy ponure i cyniczne przekonanie, że "gdyby to można było dojść prawdy", okazałoby się, że więcej niż połowa tych worków przepadła za burzą, wycofał się na drugie skrzydło mostka. Jukes, wyprowadzony z równowagi tą niezastężoną napaścią, złamał igłę przy następnym ściegu i rzuciwszy robotę, wstał, stłumionym głosem gwałtownie przeklinając upał.

Śruba głucho waliła wodę, trzech Chińczycy na dziobie przerwali nagle sprzeczkę, a ten, który splatał warkocz, objął rękoma kolana i beznadziejnym wzrokiem gapił się przed siebie. Trupi blask słońca kładł słabe i mdłe cienie. Martwa fala stawiała się coraz wyższa i szybsza, powodując ciężkie przechyły boczne statku na gładkich, głębokich przepaściach wodnych.

- Ciekawym, skąd się bierze ta przeklęta martwa fala -głośno powiedział Jukes, łapiąc równowagę.

- Z północnego wschodu - odburknął z drugiej strony skrzydła mostka MacWhirr, zawsze dosłownie rozumiejący pytania. - Tłucze się gdzieś po okolicy paskudna pogoda. Niech pan pójdzie spojrzeć na barometr.

Kiedy Jukes wyszedł z kabiny nawigacyjnej, na jego twarzy malowały się zamyślenie i niepokój. Uchwycił poręcz na skrzydle mostka i utkwiał wzrok w przestrzeni. Temperatura w maszynowni podniosła się do stu siedemnastu stopni. Ze świetlika i przez kratę kotłowni dochodził szorstki gwar poirytowanych głosów, przeplatany gwałtownym szczękiem i zgrzytem metalu, jak gdyby kłócący się tam ludzie mieli kończyny z żelaza, a gardła z brązu. Drugi mechanik wymyślał palaczom za spadek ciśnienia pary. Miał iście kowalskie bary i budził powszechny lęk, ale tego popołudnia palacze odpowiadali zuchwale, z desperacką furią zatrzaskując drzwiczki paleniska. Potem hałas ustał nagle i drugi mechanik wynurzył się z kotłowni, pokryty smugami brudu i zlany potem, niby kominiarz wychodzący ze studni. Ledwie wysunął głowę nad kratę, zaczął rugać Jukesa, że wentylatory kotłowni nie są porządnie wykręczone na wiatr. W odpowiedzi Jukes czynił rękoma uspokajające, błagalne gesty, które miały znaczyć: "nie ma wiatru - nic nie poradzę - sam pan widzi". Ale tamtemu nie można było przemówić do rozsądku. Na tle brudnej twarzy zęby błyskały mu wściekle. Nie ma nic przeciwko temu, by porozwalać tym bałwanom na dole ich takie owakie łby, niech go diabli, ale czy ci przekłęci marynarze myślą, że dla utrzymania ciśnienia pary w kotłach wystarczy tylko rugać tych takich owakich palaczy? Nie, do cholery. Musi być też przeciąg - żeby go tu na miejscu pokręciło, musi! A jeszcze w dodatku chief miota się od południa jak wariat koło manometru kotłowego. Po jaką cholere Jukes tu siedzi, jeśli nawet nie potrafi kazać żadnej pokładowej łamadze nastawić wentylatory na wiatr?

Stosunki między "maszynownią" a "pokładem" były na "Nan-Shanie", jak wiadomo, braterskie; Jukes wychylił się więc nad poręczą i opanowanym głosem błagał mechanika, by przestał z siebie robić durnia; po drugiej stronie mostka stoi kapitan. Ale drugi mechanik oświadczył buntowniczo, że kpi sobie z tego, kto jest po drugiej stronie mostka. W mgnieniu oka pobłażliwe strofowanie Jukesa zmieniło się w irytację i nie dobierając słów, poradził tamtemu, by sam wlaź na górę i wykręcił przekłute rury, to złapie tyle wiatru, na ile tylko takiego jak on ośa stać. Drugi mechanik skoczył do boju. Rzucił się na lewoburtowy wentylator, jakby chciał cały wyrwać i wyrzucić za burtę. Z wielkim wysiłkiem udało mu się jedynie przekręcić o parę cali głowicę nawiewnika i już zdawał się być całkowicie wyczerpany. Stał oparty plecami o tylną ścianę sterowni; Jukes podszedł do niego.

- O Boże! - wyrzucił z siebie mechanik słabym głosem. Podniósł oczy w niebo, a potem opuścił szklany wzrok na linię widnokręgu, która przechylona o 40 stopni zdawała się przez chwilę zwisać ukosem, nim powoli wróciła na swoje miejsce. - O Boże. Uff! Co to się w ogóle dzieje?

Jukes, stojący jak cyrkiel na swoich rozstawionych, długich nogach, przybrał ton wyższości.

- Dostanie nam się tym razem - powiedział. - Barometr spada na łeb na szyję, Harry. A ty się tak głupio awanturujesz...

Słowo "barometr" rozbudziło na nowo furię drugiego mechanika. Zebrał się w sobie i stłumionym głosem brutalnie kazał Jukesowi wepchnąć sobie ten niewymienialny instrument do własnego cholernego gardła. Kogo ten parszywy barometr obchodzi? Tu idzie o parę - parę, bo ciśnienie spada, psi jego los między mdlejącymi palaczami a chiefem, który dostał kręćka; nic go nie obchodzi, jeśli cały ten kram pójdzie w jasne pioruny. Przez chwilę zdawało się, że zacznie płakać, ale kiedy odzyskał oddech, wymamrotał posepnie: "już ja im pomdleję", i zbiegł z mostka. Przystanął na kratownicy, by pogrozić pięścią dziwnemu słońcu, i z wojowniczym okrzykiem zapadł się w ciemną czeluść.

Odwróciwszy się, Jukes spostrzegł zaokrąglone plecy i duże czerwone uszy kapitana MacWhirra, który podszedł był z drugiego skrzydła. Nie patrząc na swego pierwszego oficera, przemówił bez wstępu:

- Ten drugi mechanik to bardzo gwałtowny człowiek.

- Mimo to doskonały mechanik - odburknął Jukes. - Nie dają rady utrzymać ciśnienia - dodał pośpiesznie i chwycił poręcz na widok zbliżającego się przechyłu. Kapitan MacWhirr był nieprzygotowany, więc rzuciło nim parę kroków, aż z nagłym szarpnięciem zatrzymał się koło stojaka tentu.

- Ordynus - upierał się. - Jeśli tak dalej pójdzie, przy pierwszej okazji będę go musiał zwolnić.

- To z upału - powiedział Jukes. - Straszna pogoda. Święty by klął. Nawet tu, na górze, czuję, jakbym miał głowę owiniętą wełnianym kocem.



Kapitan MacWhirr podniósł wzrok.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że miał pan już kiedyś głowę owiniętą kocem? Po co?

- To tak się mówi - odparł Jukes tępo.

- Też macie pomysły! Święci mają przeklinać? Po co pan wygaduje takie bzdury. Cóż to byłby za święty, gdyby klął? Pewnie taki sam święty jak pan. I co ma do tego koc - albo pogoda... Ja nie klnę mimo upału. To po prostu paskudny charakter. Ot, co. Takie gadanie nie ma sensu.

W ten oto sposób kapitan MacWhirr wystąpił przeciwko obrazowemu wyrażaniu się, na koniec zaś zelektryzował Jukesa pogardliwym prychnięciem, po którym nastąpił pełen wściekłości wybuch.

- Do cholery! Wywalę go ze statku, jeśli nie będzie się pilnował.

Niepoprawny Jukes pomyślał: "O nieba! Nowy duch wstąpił w starego. Jest naprawdę zły. Oczywiście to wszystko z upału, bo z czegoż innego? Nawet anioł stałby się kłótniwy - a cóż dopiero święty".

Wszyscy Chińczycy na pokładzie wydawali się ledwo żywi. Zachodzące słońce miało zmniejszoną średnicę i jarzyło się bezpromiennym, wygasającym brązem, jakby od rana upłynęły już miliony wieków, a teraz zbliżał się koniec. Na północy pojawił się zwał gęstych chmur; miał złowieszczy, ciemnooliwkowy odcień i spoczywał nieruchomo na morzu, niby masywna przeszkoda zagrządzająca drogę statkowi. Ten zaś brnął ku niej niezmiernie, jak wycieńczone zwierzę pędzone na śmierć. Miedziana poświata zanikła stopniowo, ustępując ciemnościom, a wraz z nimi pojawił się nad samą ziemią rój ogromnych gwiazd, które migotały niepewnie jak płomyki w podmuchach wiatru. O ósmej Jukes poszedł do kabiny nawigacyjnej, by wciągnąć dane do dziennika okrętowego. Starannie przepisał z brudnopisu liczbę mil, kurs statku, a w kolumnie "wiatr" nagryzmolił poprzez całe osiem godzin od południa słowo "cisza". Irytowało go nieustanne i monotonne kołysanie. Ciężki kałamarz tak się ślizgał, że można go było posądzić o przekorną ucieczkę przed piórem. Napisawszy w obszernej rubryce pod nagłówkiem "uwagi": "Bardzo dokuczliwy upał", wziął obsadkę w zęby jak fajkę i pieczołowicie otarł twarz z potu. "Statek silnie rozkołyszany na wysokich, krzyżujących się martwych falach", ciągnął dalej, dodając w myśli: "silnie, to za mało powiedziane". Potem napisał: "Groźny zachód słońca i niski zwał chmur na półn. i wsch. Niebo nad nami czyste".

Rozparty przy stole z piórem w ręku, wyjrzał przez drzwi. W polu widzenia, ujętym w ramy framugi między ścianami z lękowego drzewa, zobaczył gwiazdy uciekające w górę po czarnym niebie. Wszystkie naraz poderwały się do lotu i znikły, pozostawiając za sobą jedynie białą nacętkowaną czerń, bo morze, równie czarne jak niebo, całe upstrzone było pianą. Gwiazdy, które odfrunęły przy pierwszym przechyle, wróciły przy następnym, spadając rozmigotanym

rojem już nie ognistych punkcików, ale małych krążków, połyskujących czystym mokrym blaskiem.

Jukes przyglądał się przez chwilę latającym wielkim gwiazdom, a potem zapisał: "8 wieczór. Martwa fala wzrasta. Statek pracuje ciężko, fale zmywają pokłady. Kulisi na noc zamknięci pod pokładem. Barometr ciągle spada". Przerwał i pomyślał: "Może to wszystko skończy się na niczym". Potem, bez wahania, zakończył zapis zdaniem: "Wszystkie oznaki zbliżającego się tajfunu".

Wychodząc, musiał zejść z drogi kapitanowi, który przeszedł przez próg bez słowa i bez gestu.

- Może pan zamknie drzwi! - zawołał z głębi kabiny. Jukes zawrócił, by spełnić polecenie, i mruknął ironicznie:

- Pewnie boi się zaziębić. - Był teraz po wachcie, ale czując potrzebę zagadania do kogoś, zwrócił się wesoło do drugiego oficera:

- Mimo wszystko nie wygląda tak źle, prawda? Drugi chodził tam i z powrotem po mostku, to zbiegając w dół małymi kroczkami, to wspinając się z wysiłkiem w górę po ruchomym zboczu pokładu. Na dźwięk głosu Jukesa stanął nieruchomo twarzą w kierunku dziobu, ale nie odpowiedział.

- O! To będzie ciężki przechył - powiedział Jukes, kołyszając się na spotkanie głębokiej fali, aż ręką dotknął desek pokładu. Tym razem z gardła drugiego wydobył się nieprzyjazny pomruk.

Był to podstarzały, wyniszczony facet z popsutymi zębami i bez zarostu. Zamustrowano go naprędce w Szanghaju podczas tego rejsu, kiedy drugi oficer sprowadzony z kraju wypadł przez burtę (kapitan MacWhirr nie mógł pojąć, jak to się stało) do pustej barki węglowej stojącej obok, opóźniając o trzy godziny odpłynięcie "Nan-Shanu" z portu; musiano go bowiem odesłać na ląd do szpitala ze wstrząsem mózgu i paroma połamanymi kośćmi. Niechętny pomruk nie zraził Jukesa.

- Chińczycy muszą mieć świetną zabawę tam na dole - odezwał się. - Ich szczęście, że nasza łajba mniej kołysze niż wszystkie inne statki, na których pływałem. O znowu! Ta też nie była taka zła!

- Poczekaj pan - warknął drugi oficer.

Jego ostry, zaczerwieniony na końcu nos i ściągnięte, wąskie usta sprawiały wrażenie, jakby nim bezustannie miotała wewnętrzna wściekłość, a zwięzły sposób wyrażania się graniczył z opryskliwością. Cały swój wolny czas spędzał w kabinie przy zamkniętych drzwiach, zachowując się tak cicho, jak gdyby zasypiał natychmiast po zejściu ze służby. Ci, którzy schodzili go budzić na wachtę, zawsze zastawali go jednak leżącego na wznak na koi, z głową na przybrudzonej poduszce i gniewnym wyrazem szeroko otwartych oczu. Nigdy nie pisał listów i zdawał się znikąd nie oczekiwać wiadomości; wspominał raz co prawda West Hartlepool, ale tylko po to, by z wyjątkową goryczą wytknąć zdzierstwo w jakimś pensjonacie. Należał do marynarzy, których w razie

potrzeby zaciąga się w rozmaitych portach świata. Są oni dość obeznani ze swoim fachem, zdają się być całkowicie splukani z pieniędzy, nie zdradzają żadnych szczególnych wad i noszą na sobie piętno wyraźnego niepowodzenia. Dołączają do załogi w wypadku nagłej potrzeby, wszystkie statki są im jednakowo obojętne, żyją w atmosferze przypadkowych związków z kolegami (którzy nic o nich nie wiedzą) i decydują się rzucić pracę w najmniej odpowiedniej chwili. Bez słów i pożegnań wynoszą się w jakimś zakazanym porcie, w którym inni baliby się pozostać; schodzą na ląd ze swoją obdrapaną skrzynką, obwiązana sznurem jak kufer pełen skarbów, z taką miną, jakby chcieli czym prędzej puścić statek w niepamięć.

- Poczekaj pan - powtórzył, stojąc plecami do Jukesa, nieruchomy i zawzięty, utrzymując równowagę mimo silnego kołysania.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że jeszcze oberwiemy? - zapytał Jukes z chłopcą ciekawością.

- Ja chcę powiedzieć?... Ja nic nie mówię. Nie złapie mnie pan - przerwał ostro oficer z mieszaniną dumy, pogardy i chytryści, jakby w pytaniu Jukesa kryła się jakaś zasadzka. - O nie! Żaden z was tu nie robi ze mnie durnia, szkoda gadać - mruknął do siebie.

Jukesowi przeleciała przez głowę myśl, że drugi jest podłą kreaturą, i żał mu się zrobiło w głębi serca, że biedny Jack Allen rozbił się w barce węglowej. Daleko przed statkiem, poprzez gwiazdzistą noc ziemską, widać było inną głęboką czerń, jakby drugą noc - bezgwiazdną noc nieskończoności poza stworzonym wszechświatem, ukazaną w straszliwej ciszy przez niską szczelinę w tej połyskującej kuli, której jądrem jest ziemia.

- Cokolwiek tam jest - powiedział Jukes - to płyniemy prosto na to.

- Pan to powiedział - podchwycił drugi oficer wciąż odwrócony tyłem do Jukesa. - Proszę pamiętać: pan - nie ja.

- Idź pan do diabła! - rzucił Jukes po prostu, tamten zaś zachichotał z triumfem.

- To pan powiedział - powtórzył.

- Więc co z tego?

- Znałem ludzi naprawdę przyzwoitych, którzy popadali w tarapaty ze swoimi kapitanami, chociaż pyskowali mniej od pana - mówił drugi gorączkowo. - O, nie! Mnie pan nie złapie!

- Jakoś cholernie pan się boi czymkolwiek zdradzić - powiedział Jukes skwaszony absurdalną sytuacją. - Ja tam się nie boję mówić, co myślę.

- Ech, mówić do mnie to nie sztuka. Jestem nikim i dobrze o tym wiem. Po okresie względnego spokoju statek znów zaczął się kołysać, jedno przechylenie gorsze było od drugiego i na chwilę Jukesa zbyt pochłonęło utrzymywanie równowagi, by mógł otworzyć usta. Kiedy tylko najgorsze huśtanie minęło,

powiedział:

- Trochę za dużo tego dobrego. Czy cokolwiek nadchodzi, czy nie, trzeba ustawić się dziobem do fali. Stary poszedł się właśnie położyć. Niech mnie diabli, jeśli nie pójde z nim pogadać.

Kiedy jednak otworzył drzwi od kabiny nawigacyjnej, zobaczył swego kapitana czytającego książkę. Kapitan MacWhirr nie leżał na koi - stał uczepiony jedną ręką brzegu półki, a drugą trzymał przed sobą gruby, otwarty tom. Lampa kręciła się na zawieszonym kardanowym, książki, korzystając z pustego miejsca, przewracały się z boku na bok po półce; długi barometr szarpliwie zataczał koła, a stół co chwila zmieniał kąt nachylenia. Kapitan, stojący nieruchomo pośrodku całego tego zamętu, wyrzał spoza książki i spytał:

- O co chodzi?

- Martwa fala się powiększa, panie kapitanie.

- Zauważyłem to i tutaj - mruknął kapitan MacWhirr. - Coś nie w porządku?

Jukes, zmieszany poważnym wyrazem oczu patrzących nań znad książki, uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Huśta nami jak starym butem - odparł nieśmiało.

- Tak jest. Wielka fala, wielka fala. Czego pan chce?

Jukes stracił rezon i zaczął się plątać.

- Myślę o naszych pasażerach - powiedział z miną człowieka, który chwyta się byle czego.

- Pasażerach? - zdziwił się kapitan z całą powagą. - Jakich pasażerach?

- No, jak to? O Chińczykach, panie kapitanie - wyjaśnił Jukes, któremu już zupełnie obrzydła ta rozmowa.

- O Chińczykach! Czemu pan nie mówi wyraźnie? Nie wiedziałem, o co chodzi. Nigdy nie słyszałem, żeby tłum kulisów nazywać pasażerami. Też mi pasażerowie! Co pana napadło? Kapitan MacWhirr przymknął książkę, zakładając palcem miejsce, gdzie czytał, i opuścił rękę; wyglądał na bardzo zdumionego.

- Dlaczego pan myśli o Chińczykach? - dopytywał się. Jukes zebrał się na odwagę jak człowiek przyparty do muru.

- Pokłady zalewa woda, panie kapitanie. Pomyślałem, że może pan zechce pójść dziobem

- Choćby na trochę. Dopóki fala się nie zmniejszy; a to chyba niedługo nastąpi. Sterować na wschód. Nigdy takiego kołysania nie widziałem.

Jukes trzymał się drzwi, ale kapitan MacWhirr czując, że półka nie jest wystarczającym oparciem, puścił ją pośpiesznie i ciężko padł na kanapę.

- Sterować na wschód? - pytał, usiłując usiąść. - To przecież więcej niż

cztery rumby z kursu.

- Tak jest, panie kapitanie. Pięćdziesiąt stopni... Tyle właśnie trzeba, by wykręcić i pójść na...

Kapitan MacWhirr siedział już teraz wyprostowany. Nie wypuścił książki i nie zgubił w niej zaznaczonego miejsca.

- Na wschód? - powtórzył z rosnącym zdumieniem. - Na... A jak pan myśli, dokąd my płyniemy? Pan chce, bym zmienił kurs silnego parowca o cztery rumby dla wygody Chińczyków? Słyszałem już o różnych idiotyzmach na świecie, ale coś takiego... Gdybym pana nie znał, pomyślałbym, że jest pan pijany. Zwrócić o cztery rumby... A co potem? Pewnie z powrotem zawrócić w drugą stronę, by mieć dobry kurs. Co panu przyszło do głowy, że będę zmieniał halsy parowca, jakby to był żaglowiec?

- Całe szczęście, że nim nie jest - wtrącił Jukes z goryczą. - Pogubiłby dziś po południu wszystkie patyki od tego kiwania.

- Tak jest. A pan mógłby tylko stać i patrzeć, jak je gubi - dorzucił kapitan MacWhirr z pewnym ożywieniem. - Mamy zupełną ciszę, prawda?

- Tak jest, panie kapitanie. Ale na pewno zbliża się coś niezwykłego.

- Być może. Pewnie uważa pan, że powinienem uciec przed tym świństwem - powiedział kapitan MacWhirr z największą prostotą w zachowaniu i głosie, utkwivszy nieruchomy wzrok w płótnie pokostowym, pokrywającym podłogę. Nie spostrzegł więc ani zakłopotania Jukesa, ani malującej się na jego twarzy mieszaniny wzburzenia i szacunku.

- O, tu, ta książka - ciągnął kapitan z namysłem, klepiąc się zamkniętym tomem po udzie. - Właśnie w niej przeczytałem rozdział o sztormach.

To była prawda. Czytał rozdział o sztormach. Wchodząc do kabiny nawigacyjnej, nie miał

zamiaru zdejmować książki z półki. Coś w powietrzu - pewnie to samo, co skłoniło stewarda, by bez rozkazu przynieść do kabiny nawigacyjnej gumowe buty i nieprzemakalny płaszcz kapitana - skierowało jego rękę do półki; nie tracąc nawet czasu na siadanie, zabrał się energicznie do zgłębiania trudnej terminologii przedmiotu. Pochłonęły go przesuwające się półokręgi, bezpieczne i niebezpieczne ćwiartki, krzywe torów, prawdopodobny namiar na oko cyklonu, zmiany kierunku wiatru i wskazania barometru. Starał się odnaleźć w tych wszystkich danych jakiś określony związek z własną sytuacją, ale w końcu ogarnęła go pogardliwa złość na tę masę słów pełnych wskazówek, wyrozumowanych koncepcji i przypuszczeń, pozbawionych cienia pewności.

- To jedna wielka bzdura - powiedział. - Gdyby człowiek wierzył we wszystko, co tu jest, to większość czasu spędzałby na próbach omijania sztormów po całym morzu. Znowu uderzył się książką po nodze; Jukes otworzył usta, ale się nie odezwał.

- Omijać sztorm! Czy pan to rozumie? To szczyt szaleństwa! - wykrzykiwał kapitan MacWhirr, robiąc między zdaniem pauzy, podczas których z powagą wpatrywał się w podłogę.

- Można by pomyśleć, że napisała to stara baba. To przechodzi wszelkie pojęcie. Gdyby ta książka miała jakikolwiek sens, powinienem natychmiast zmienić kurs, płynąć gdzieś, diabli wiedzą gdzie, i triumfalnie dotrzeć do Fuczou od północy, ciągnąc w ogonie tego paskudztwa, które przypuszczalnie tłucze się gdzieś po okolicy. Od północy! Rozumie pan? Nadłożyć trzysta mil, a potem przedstawić ładny rachuneczek za węgiel. Nigdy bym się na to nie zdobył, nawet gdyby każde słowo było prawdziwe jak święta Ewangelia. Nie może pan ode mnie oczekiwać...

Jukes milczał zdumiony podnieceniem i wielomównością kapitana.

- Ale faktem jest, że i tak nie wiemy, ile w tym racji. Skąd można na zapas przewidzieć, jaki będzie wiatr? Faceta, co to napisał, nie ma tu z nami na statku. No dobrze. On pisze, że oko tego czegoś leży osiem rumbów od wiatru; ale mimo tego całego spadania barometru wiatru nie ma. Więc gdzie jest to oko?

- Wiatr zaraz się zacznie - bąknął Jukes.

- To niech się zacznie - obruszył się z godnością kapitan MacWhirr. - Chciałem panu tylko wykazać, że w książkach wielu rzeczy nie ma. Wszystkie te reguły, jak unikać silniejszych powiewów i jak obchodzić wiatry, wszystko to wydaje mi się czystym szaleństwem, kiedy się chłodno nad tym zastanowić.

Podniósł wzrok i dostrzegłszy, że Jukes przygląda mu się niepewnie, zaczął wyjaśniać, co miał na myśli.

- Podobnie jak i pana zadziwiający pomysł wykręcenia statku dziobem do fali na Bóg wie jak długo, żeby Chińczykom było wygodniej; podczas kiedy do nas należy tylko dowieźć ich do Fuczou w piątek przed południem. Jeśli pogoda przeszkodzi - mówi się trudno. W pańskim dzienniku okrętowym jest wyraźny zapis pogody. Ale przypuśćmy, że zszedłbym z kursu i zawinął o dwa dni później. Zapytano by: "Gdzie pan był przez ten cały czas, panie kapitanie?" Co bym powiedział? "Poszedłem okrężną drogą, żeby uniknąć złej pogody" - odpowiedziałbym. "Musiała być cholernie zła" - oni na to. A ja:

"Nie wiem. Okrążyłem ją". Rozumie pan? Dokładnie to przemyślałem w ciągu popołudnia. Znowu podniósł wzrok, z właściwym sobie wyrazem, jakby niczego nie zauważał i pozbawiony był wyobraźni. Nikt jeszcze nie słyszał, by kiedykolwiek wypowiedział tyle słów naraz. Jukes, który z rozkrzyżowanymi ramionami stał w drzwiach, miał minę człowieka zaproszonego na pokaz cudu. W jego oczach malowało się bezgraniczne zdziwienie, a z całej postawy przebijało niedowierzanie.

- Sztorm jest sztormem, proszę pana - podjął kapitan - i przyzwoity parowiec musi mu stawić czoło. Zawsze tłucze się gdzieś jakaś paskudna

pogoda po świcie i trzeba się przez nią po prostu przebić bez tych różnych "sztormowych strategii", o których mówi stary kapitan Wilson z Melity. Niedawno na lądzie słyszałem, jak przemawiał na ten temat do grona kapitanów, z którymi siedział przy sąsiednim stole. Mnie się to wszystko wydało szczytem bzdury. Opowiadał im, jak udało mu się wymanewrować - chyba tak się wyraził - okropny sztorm, któremu ani przez chwilę nie dał podejść bliżej niż na pięćdziesiąt mil. Nazwał to pięknym triumfem rozumu. Skąd wiedział, że o pięćdziesiąt mil był okropny sztorm, to się w głowie nie mieści. Miałem wrażenie, że słucham wariata. Wydawałoby się, że na swoje lata kapitan Wilson powinien być mądrzejszy.

Kapitan MacWhirr przerwał na chwilę, a potem spytał:

- To pan teraz nie jest na wachcie, prawda? Jukes drgnął jak przebudzony.

- Nie jestem, panie kapitanie.

- Proszę wydać rozkaz, żeby mnie zbudzono przy najmniejszej zmianie - powiedział kapitan.

Wyciągnął rękę, odkładając na miejsce książkę, i podkulił nogi na koi. - Niech pan dociśnie drzwi, żeby się same nie otworzyły. Nie cierpię, jak trzaskają. Prawdę mówiąc, na tym statku jest mnóstwo podłych zamków.

Kapitan MacWhirr zamknął oczy.

Chciał odpocząć. Odczuwał zmęczenie i pustkę w głowie: skutki wyczerpującej dyskusji, która wyzwala jakieś głębokie przekonanie, dojrzewające w ciągu wieloletnich rozmyślań. Istotnie było to jego wyznanie wiary, choć nie zdawał sobie z tego sprawy; Jukes zaś był pod tak silnym wrażeniem, że długo jeszcze stał za drzwiami, drapiąc się w głowę.

Kapitan MacWhirr otworzył oczy.

Zdawało mu się, że zasnął. Co to za łoskot? Wiatr? Czemu go nie zawołano? Lampa kręciła się na zawieszonym kardanowym, barometr zataczał koła, stół zmieniał co chwila kąt nachylenia; gumowe buty o załamanych w pół wiotkich cholewach przesunęły się koło koi. Wyciągnął szybko rękę i złapał jeden z nich.

W szparze drzwi ukazała się twarz Jukesa: tylko twarz, bardzo czerwona, z wytrzeszczonymi oczami. Płomień w lampie podskoczył, kawałek papieru podleciał w górę, gwałtowny podmuch owionął kapitana. Wciągając but, skierował wyczekujące spojrzenie na spuchniętą i podnieconą twarz Jukesa.

- Zaczęło się - krzyczał Jukes - pięć minut temu... zupełnie nagle.

Głowa znikła wraz z głośnym trzaśnięciem drzwi, po których przeleciał gwałtowny plusk i bębnienie rozbryzgu, jakby ktoś chlusnął po nadbudówce wiadrem rozpuszczonego ołowiu. Poprzez głuchy, wibrujący huk dolatywał teraz świst. Duszna kabina nawigacyjna pełna była przeciągów jak szopa. Kapitan MacWhirr złapał w przelocie drugi but przesuwany się gwałtownie po podłodze. Nie był oszołomiony, ale z trudnością znalazł otwór na nogę.

Pantofle, które zrzucił, rozbiegły się po kabinie, wywracając koziołki jak rozbawione szczenięta. Kiedy się podniósł, kopnął je z wściekłością, ale bez żadnego skutku. Stojąc w pozycji atakującego szermierza, sięgnął po swój nieprzemakalny płaszcz; potem nałożył go, podrygując i zataczając się po ciasnej kabinie. Z wielką powagą, szeroko rozstawiając nogi i wyciągając szyję, zaczął starannie wiązać pod brodą sznurki zydwestki grubymi, lekko trzęsącymi się palcami. Wykonywał wszystkie gesty kobiety nakładającej przed lustrem kapturek i z napiętą, wyteżoną uwagą wsłuchiwał się w kakofonię dźwięków, które ogarnęły nagle statek, jakby spodziewając się każdej chwili, że wyłoni z niej swoje nazwisko. Ogłuszony narastającym łoskotem, przygotowywał się do wyjścia, aby stawić czoło temu, co się tam działo. A był to nawał burzliwych, rozszalałych wichrów, grzmot rozbijających się fal, przeciągłe, głuche wibracje powietrza, jak gdyby gdzieś w oddali olbrzymi bęben wzywał sztorm do ataku.

Przystanął na chwilę w świetle lampy, krępy, niezgrabny i bezkształtny w swoim bitewnym rynsztunku, czujny i czerwony na twarzy.

- To nie przelewki - mruknął do siebie.

Wiatr porwał drzwi, ledwo je spróbował otworzyć. Uczepionego klamki wywlekło go przez próg i natychmiast rozpoczął z wiatrem bójkę o zamknięcie drzwi. W ostatniej chwili wpadł do kabiny strumień powietrza i zmył płomień lampy.

Przed dziobem, ponad mrowiem białych błysków, panowała wielka ciemność; za prawą burtą, nad bezmierną pustką kipiącego morza, majaczyło kilka zdumiewających gwiazd, mętnych i niepewnych, jakby widzianych przez rozszalałe tumany dymu. Na mostku widać było w świetle okien sterówki, padającym mgliście na ich głowy i plecy, grupę pracujących w ogromnym trudzie postaci. Raptem w ciemność zapadło jedno okno, a po chwili drugie. Głosy niewidzialnej grupy dochodziły go tak jak głosy ludzi w wicherze: urywki, strzępki beznadziejnego wołania śmigwały mu koło uszu. Nagle pojawił się przy nim Jukes, który zawrzeszczał, pochylając głowę.

- Wachta... obsadzona... sterówce klapy... szkło... boję się... wgniecie.

Jukes usłyszał, że kapitan robi mu wymówki.

- To - zaczęło się - cokolwiek - ostrzec - zawołać mnie. Usiłował wytłumaczyć, chociaż wiatr zatykał mu usta.

- Powiew... zostałem... mostku... nagle... północno-wschodni... mógł się zmienić... myślałem... na pewno... pan... słyszy.

Dotarli do brezentowej osłony i mogli rozmawiać podniesionym głosem, jak ludzie, którzy się kłócą.

- Kazałem pozakrywać wentylatory. Dobrze, że zostałem na pokładzie. Nie myślałem, że pan zaśnie, więc... Co pan mówi, kapitanie? Co?



- Nic - odkrzyknął kapitan MacWhirr. - Powiedziałem: w porządku.

- Rany boskie! Dostało nam się tym razem - stwierdził Jukes rykiem.

- Nie zmienił pan kursu? - zapytał kapitan, wysilając głos.

- Nie, panie kapitanie. Pewnie, że nie. Wiatr przyszedł z przodu. O, idzie fala z dziobu.

Statek dał nura, po czym nastąpił wstrząs, jakby przód stępki uderzył o coś twardego. Po chwilowej ciszy strugi rozpylonych bryzgów strzeliły w górę i gnane wiatrem smagnęły ich po twarzach.

- Trzymaj pan kurs, póki się da! - krzyczał kapitan MacWhirr. Nim Jukes otarł oczy ze słonej wody, wszystkie gwiazdy znikły.



Jukes miał tyle przytomności umysłu co pół tuzina przeciętnych młodych oficerów marynarki razem wziętych; co prawda zdumiewająca wściekłość pierwszego szkwału nieco go zbiła z tropu, opamiętał się jednak w jednej chwili, zwołał załogę i kazał im szybko pozabezpieczać wszystkie otwory pokładowe, których nie uszczelniono wieczorem. Wołał świeżym, donośnym głosem: "Szybciej, chłopcy, do pomocy!", i dyrygował robotą, mówiąc sobie w duszy: "tego się właśnie spodziewałem".

Zarazem jednak coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że to było więcej, niż się spodziewał. Od pierwszego podmuchu, który musnął mu policzek, wiatr narastał i potężniał jak lawina. Ciężkie bryzgi rozpylonej wody spowijały "Nan-Shan" od dziobu po rufę i nagle podczas zwykłego kołysania statek zaczął drgać i nurkować jakby oszalały ze strachu.

"To nie żarty" - pomyślał Jukes. Kiedy krzycząc, wymieniali z kapitanem uwagi, ciemność nocy pogłębiła się raptem, jakby namacalna przeszkoda przestroniła im pole widzenia. Zdawało się, że wygaszone zostały utajone światła przestworzy. Jukes odczuwał bezgraniczne zadowolenie z bliskości kapitana. Jego obecność przynosiła mu ulgę, jakby przez samo pojawienie się na pokładzie przejął na swoje barki cały ciężar wichru. Takie są prestiż, przywilej i brzemień dowództwa.

Kapitan MacWhirr od nikogo na świecie nie mógł oczekiwać podobnej ulgi. Taka jest bowiem samotność dowództwa. Z czujnością marynarza, który staje oko w oko z wiatrem jak z przeciwnikiem, usiłował wypatrzeć i przeniknąć jego ukryte zamiary oraz odgadnąć cel i siłę ataku. Potężny wichur gnał na niego z głębokiego mroku; pod stopami wyczuwał niepokój statku, nie mogąc nawet dostrzec cienia jego kształtu. Oby się zmieniło; czekał nieruchomo, jak człowiek porażony ślepotą.

Za dnia czy w ciemności, milczenie było u niego stanem naturalnym. Wśród rwących podmuchów dolatywał go głos Jukesa, drącego się rześko na całe gardło:

- Panie kapitanie! Chybaśmy od razu wpadli w najgorsze.

Przestrzeń wokół nich rozedrgała się spięciem białych błyskawic, oświetlających jakby głąb jaskini, czarnej, tajemniczej komnaty morza, w której posadzką są spienione grzywacze. Na krótki, pełen grozy moment odsłoniły się zwały nisko wiszących, poszarpanych chmur, wydłużona sylwetka statku w przechyle i czarne kształty przychwyconych na mostku ludzi, których głowy pochylone były do przodu, jakby skamienieli, bodąc jakąś niewidoczną ścianę. Wszystko pulsowało ciemnością. I wtedy dopiero zaczęło się.

Było to coś tak przerażającego i gwałtownego, jak nagłe roztrzaskanie butli z gniewem.

Wybuchowało dookoła okrętu potężnymi wstrząsami i pędem spiętrzonych wód, jakby po nawietrznej wyleciała w powietrze ogromna tama. W jednej chwili załoga straciła ze sobą łączność. Taka jest niszczycielska siła wielkiego wiatru: oddziela ludzi od siebie. Trzęsienie ziemi, obsunięcie się góry i lawina zaskakują człowieka jakby przypadkowo, można powiedzieć, beznamiętnie. Gwałtowna wichura atakuje go jak osobistego wroga, chwyta za kończyny, poraża umysł, próbuje wydrzeć duszę.

Jukesa odepchnęło od dowódcy. Zdawało mu się, że porwany wirem przeleciał w powietrzu dużą odległość. Wszystko znikło - na chwilę nawet stracił zdolność myślenia; natrafił jednak ręką na wspornik barierki. Poczucia grozy nie zmniejszyła wątpliwość w rzeczywistość własnych przeżyć. Mimo młodego wieku widział już niejedną złą pogodę i pewien był, że potrafi sobie wyobrazić nawet najgorszą; ale to, co się działo, przechodziło wszelkie pojęcie i zdawało się uniemożliwiać przetrwanie jakiegokolwiek statku. Także co do siebie miałby zapewne podobne wątpliwości, gdyby nie był tak pochłonięty koniecznością zmagania się z potęgą żywiołu, który próbował go oderwać od uchwytu. Poza tym świadomość, że jest wpółzatopiony, potwornie poturbowany i niemal zaduszony, utwierdzała go w przekonaniu, że przecież tli się w nim jeszcze iskra życia.

Zdawało mu się, że bardzo, bardzo długo trwał tak sam, niepewnie uczepiony wspornika. Deszcz zalewał, smagał, ściekał po nim. Z trudem chwycił powietrze, a przetykana woda była raz słodka, raz słona. Prawie cały czas zaciskał powieki, jakby lękając się, że bezmierne zamieszanie żywiołów pozbawić go może wzroku. Kiedy odważał się zerknąć okiem, dodawał mu otuchy słaby odblask zielonego światła pozycyjnego z prawej burty, na pędzącej ścianie deszczu i piany. Patrzył na nie właśnie, kiedy oświetliło spiętrzoną górę wody - i zgasło. Dostrzegł czub łamiącej się fali, która dodała drobinkę łoskotu do szalejącego dookoła ryku nawałnicy, i prawie w tej samej chwili wspornik został wyszarpięty z jego objęć. Poczłł miazdzący cios w plecy i nagle woda uniosła go w górę. Miał nieodparte wrażenie, że całe Morze Chińskie wdarło się na mostek. Potem, już bardziej przytomnie, wywnioskował, że jest za burtą. Miotany, targany, rzucony na wszystkie strony przez potężne zwały wody, cały czas szybko powtarzał w duchu: "mój Boże! mój Boże! mój Boże! mój Boże!"

Nagle w porywie rozpaczliwego buntu powziął szaleńczą decyzję wydostania się z tych opałów. Zaczął wymachiwać rękoma i nogami. Ale już po chwili nieporadnych szamotań stwierdził, że jakoś zaplątał się z czyjąś twarzą, płaszczem gumowym i butami. Jak kleszczami chwycił to wszystko po kolei, gubił, znów odnajdywał, gubił raz jeszcze i wreszcie sam poczuł się mocno złapany przez dwoje silnych ramion. Odwzajemnił uścisk, obejmując masywne, mocne ciało. Tak odnalazł swego kapitana.

Przewracali się nieustannie, ściskając wzajemnie coraz mocniej. Nagle fala

rzuciła ich potężnym ciosem; przyparci do ściany sterówki, bez tchu i potłuczeni, ślaniali się i zataczali na wicherze, szukając jakiegoś punktu oparcia.

Jukes był dość przerażony, jak gdyby udało mu się umknąć przed jakimś niespotykanym gwałtem na własnych uczuciach.

Jego wiara w siebie osłabła. W tych piekielnych ciemnościach zaczął nawoływać człowieka, którego obecność wyczuwał w pobliżu: "Panie kapitanie, czy to pan? Panie kapitanie, czy to pan?" - zdawało mu się, że od tego krzyku pękają mu skronie. W odpowiedzi doleciał go głos, jakieś pełne niepokoju nawoływanie z bardzo daleka; wyłowił uchem tylko jedno słowo: "Tak!" Znowu fale przewalały się przez mostek. Stał wobec nich bezbronny, z gołą głową, mając obie ręce zajęte trzymaniem się.

Statkiem miotało obłądnie. Była jakaś zastraszająca bezradność w jego nagłych przechyłach; zapadał się dziobem, jakby dając nura w próżnię i za każdym razem natrafiając na mur. Kiedy kołysał, przewalał się na boki całą siłą rozpędu, a wyprostowywały go uderzenia tak druzgoczące, że Jukes czuł, jak "Nan-Shan" zatacza się niby ogłuszony ciosem człowiek, zanim padnie bezsilny. Potężny wicher wył i miotał się w ciemnościach, jakby cały świat był jednym czarnym wąwozem. Chwilami walił w nich pęd powietrza jakby wsysanego w tunel z tak skoncentrowaną i jednolitą siłą, że statek zdawał się wylatywać ponad powierzchnię wody i trwać przez chwilę rozdygotany całym kadłubem. Potem od nowa zaczynało nim rzucać, jakby z powrotem wpadł do kotła z wrzątkiem. Jukes z całych sił próbował zebrać myśli i chłodno ocenić sytuację.

Morze rozplaszczane gwałtowniejszymi porywami wichru wznosiło się i zalewało oba końce "Nan-Shanu" śnieżystymi wytryskami piany, rozpylonej daleko poza nadburcia i ginącej w mroku nocy. Na tym oślepiającym tle, które pod czernią chmur lśniło niebieskawą poświatą, kapitan MacWhirr dostrzegał kilka czarnych jak krople smoły punkcików; były to pokrywy luków uszczelnione zejściówkami, szczyty poprzykrywanych wind, podstawa masztu. To wszystko, co mógł zobaczyć. Nadbudówka śródkręcia, przykryta mostkiem, na którym stał ze swoim oficerem i gdzie znajdowała się sterówka, a w niej marynarz zamknięty sam na sam ze strachem, że lada moment cały kram polecą z wielkim hukiem do morza - ta nadbudówka sprawiała wrażenie przybrzeżnej skały podczas przyływu. Samotnej skały otoczonej kotłującą się wodą, zmywanej, oblewanej, tłuczonej - skały wśród przyboju, której, dopokąd się w rękach, czepiają się rozbitkowie; tyle tylko, że owa skała unosiła się, zapadała i kołysała ustawicznie, jakby w przedziwny sposób oderwana od brzegu przewalała się teraz bezwładnie po morzu.

Sztorm łupił "Nan-Shan" z bezmyślną, niszczycielską furią; wyszarpał żagle pomocnicze z dodatkowych sejinów, porwał podwójnie laszowane tenty, zmiotł wszystko z mostka, poszarpał ochrony brezentowe, pogiął poręcze, potrzaskał osłony światła pozycyjnych. Przepadły już dwie łodzie. Nikt nie

widział i nie słyszał, jak poszły za burzę, rzekłybyś, roztopiły się i znikły od uderzenia fali. Dopiero później, kiedy na białej grzywie następnej fali pędzonej na śródkręciu Jukes dojrzał dwie pary czarnych i pustych żurawików wyskakujących z głębokiej czerni oraz rozciągniętą linę talii i okuty w żelazo blok fruujące na wietrze, dopiero wtedy zdał sobie sprawę, co się wydarzyło trzy jardy za jego plecami. Wysunął głowę do przodu, szukając ucha dowódcy. Dotknął je ustami - było duże, mięsiste i bardzo mokre. Krzyknął podnieconym tonem:

- Panie kapitanie, łodzie nam zrywa!

I znowu usłyszał ten głos wysilony i słaby, ale przenikający potężną kakofonię dźwięków spokojem dolatującym niby z jakiegoś odległego miejsca ciszy, spoza czarnych bezmiarów wichru; znowu usłyszał głos człowieka - dźwięk wąty, a niezwykły, zdolny przekazać nieskończoność myśli, postanowień i celów, głos, który zabrzmiał śmiało w dzień ostateczny, kiedy runą niebiosa i sprawiedliwości stanie się zadość - usłyszał go znowu, wołający jakby z bardzo, bardzo daleka:

- Dobrze.

Pomyślał, że nie został zrozumiany.

- Nasze łodzie... mówię łodzie... łodzie, panie kapitanie! Dwie poszły!

Ten sam głos, nadlatujący z odległości zaledwie stopy, a przecież tak daleki, wrzasnął rozsądnie:

- Nie ma rady.

Kapitan MacWhirr nie odwrócił głowy, ale Jukes pochwycił na wietrze parę innych słów.

- Czego można... oczekiwać... kiedy przebijamy się... taki... musimy zostawić... coś za sobą... to jasne.

Jukes nasłuchiwał jeszcze. Cisza. To było wszystko, co kapitan MacWhirr miał do powiedzenia. Jukes nie tyle widział, co wyobrażał sobie jego szerokie, krępe plecy. Nieprzeniknione ciemności zwisały nisko nad widmowymi przebłyskami morza. Jukesa ogarnęło tępe poczucie bezradności.

Jeżeli wytrzyma urządzenie sterowe, jeżeli potężny napór wód nie rozwali pokładu albo nie zdruzgocze któregoś luku, jeżeli maszyny nie staną, jeżeli statek utrzyma kurs w tym potwornym huraganie i nie zagrzebie się pod jedną z okropnych fal, których białe grzywy dostrzegał od czasu do czasu ze ściśnięciem serca, jak przewalały się wysoko nad dziobem - to może ocaleją. Miał wrażenie, jakby się coś w nim przewróciło i wydobyło na wierzch przekonanie, że "Nan-Shan" jest stracony.

- Przepadł - powiedział sobie dziwnie poruszony, jakby nagle odkrył niespodziewany sens tej myśli. Musi się zdarzyć choćby jedna z tych rzeczy. Niczemu nie można zapobiec i niczemu zaradzić. Marynarze nic tu nie pomogą,

a statek tego nie wytrzyma. Ten sztorm przeszedł wszelką miarę.

Jukes poczuł nagle na swoim ramieniu ciężar czyjejś ręki; zareagował z wielką przytomnością umysłu, łapiąc kapitana w pól. Stali tak szczepieni w nieprzeniknionych ciemnościach, wspierając się wzajemnie przeciwko wiatrowi, twarz przy twarzy, usta przy uchu, niby dwa kadłuby zacumowane jeden do drugiego dziobem do rufy.

Głos dowódcy dolatywał do Jukesa nieco tylko donośniejszy niż przedtem, ale mniej odległy, niosąc poprzez huragan dziwnie kojący spokój podobny do łagodnego światła aureoli.

- Wiecie, gdzie załoga? - zapytywał ten mocny, a zarazem zanikający głos, przebijający się przez wiatr i natychmiast przezeń zwiewany.

Jukes nie wiedział. W chwili kiedy huragan uderzył z całą siłą, wszyscy byli na mostku. Nie miał pojęcia, gdzie się teraz pochowali. W tych warunkach równie dobrze mogli nie istnieć, bo i tak byli bezużyteczni. Zainteresowanie kapitana stropiło jakoś Jukesa.

- Potrzebuje ich pan? - zawołał niechętnie.

- Powinienem wiedzieć - stwierdził kapitan MacWhirr. - Trzymaj się pan mocno. Trzymali się mocno. Nagły wybuch rozpętanej furii, wściekły pęd powietrza wstrzymał wszelkie kołysanie; przez straszliwą chwilę niepewności statek tylko oscylował nieznacznie i szybko jak dziecinna kołyska, podczas gdy cała otaczająca go atmosfera zdawała się rwać dziko i, rycząc, ułatywać z mrocznej kuli ziemskiej.

Dławieni powietrzem zacisnęli powieki i objęli się mocniej. Coś, co sądząc z potęgi uderzenia mogło być słupem wody lecącym prostopadle w ciemności, ubodło statek, zawisło i runęło z wysoka na mostek miażdżącą, śmiertelną siłą bezwładu. Lecąca cząstka tego zwału, niewielki rozbryzg, oplotła ich wirem od stóp do głów, wdzierając się słoną wodą w uszy, usta i nozdrza. Podbiła im nogi, gwałtownie szarpnęła za ręce, zakotłowała i spłynęła pod brody; otworzywszy oczy, zobaczyli zwały piany miotające się to tu, to tam, pomiędzy czymś, co wyglądało na szczątki okrętu. "Nan-Shan" poddawał się, jak gdyby wpychany wprost pod wodę. Ich łomoczące serca stanęły pod wpływem potężnego ciosu; statek zaś poderwał się raptem do góry i od nowa dał rozpaczliwego nura, jakby próbując wygrzebać się spod ruin.

Fale nacierały w mroku ze wszystkich stron, aby zatrzymać "Nan-Shan" tam, gdzie czekała go zagłada. Zadawały statkowi ciosy pełne nienawiści i dzikiego okrucieństwa. A on był jak żywa istota rzucona na pastwę rozwścieczonego tłumu: poniewierany, tłuczony, podbijany w górę, ciskany w dół, tratowany. Kapitan MacWhirr i Jukes trzymali się wzajemnie, ogłuszeni hałasem, zakneblowani wiatrem; szalejące dookoła żywioły rozstroiły ich podobnie jak widok rozkiełznanych ludzkich namiętności. Jeden z tych dzikich i przerażających wrzasków, które nie wiadomo skąd przelatują czasami w górze

wśród nieustannego ryku huraganu, uderzył właśnie na statek, jakby niesiony skrzydłami. Jukes starał się go przekrzyczeć.

- Czy przetrzyma?

Z głębi serca wyrwał mu się ten okrzyk, równie niezamierzony jak przelotna myśl zrodzona w głowie, i sam Jukes go nie usłyszał. Wszystko natychmiast przestało istnieć - myśl, zamiar i wysiłek poprzedzające krzyk - tylko nieuchwytna dla ucha wibracja dołączyła do wzburzonych fal atmosfery.

Niczego się nie spodziewał. Absolutnie niczego. Bo jakże można by odpowiedzieć? Po chwili jednak ze zdumieniem wyłowił uchem wąty, lecz niezniszczalny głos - lilipuci szmer niepokonany ogromem tumultu.

- Może przetrzyma!

Był to zdławiony ryk, trudniejszy do uchwycenia od szeptu. Niebawem znów powrócił ów głos, na wpół zduszony potęgą łoskotów, przez które przedzierał się niby statek walczący z falami oceanu.

- Miejmy nadzieję! - wołał słaby, samotny i niewzruszony głos, który nie znał ani nadziei, ani lęku; później dolatywały tylko oderwane słowa: - Statek... Ten... Nigdy... Ale... nadziei. - Jukes dał za wygraną.

Potem, jakby natrafiając nagle na jedyny sposób stawienia czoła sztormowi, głos spotężniał i nabrał stanowczości w ostatnich strzępach krzyków.

- Nie ustawać... konstruktorzy... można polegać... i zaryzykować... maszyny... Rout... można polegać.

Kapitan MacWhirr zdjął rękę z ramienia Jukesa i tym samym przestał dlań istnieć, tak było ciemno; a Jukes, po napięciu wszystkich mięśni, poddał się bezwładowi całego ciała. Dręczony okropną niewygodą, odczuwał zarazem niewiarygodną senność, jak gdyby pobicie i znękanie wtrąciło go w śpiączkę. Wiatr łapał go za głowę, próbując ją wyszarpać z tułowia; nasiąknięte wodą ubranie było ciężkie jak ołów, zimne i ociekające niby zbroja z topniejącego lodu; drżał na całym ciele - trwało to dłuższy czas; trzymając się kurczowo, zapadał powoli w otchłań fizycznego wyczerpania. Jego bezładne myśli skupiły się ospale na nim samym i kiedy coś szturchnęło go lekko od tyłu pod kolanami, niemal, jak to się mówi, wyskoczył ze skóry.

Rzuciwszy się do przodu, wpadł na plecy kapitana Mac Whirra, który nawet nie drgnął; potem jakaś ręka złapała go za udo. Nastąpiła cisza, cisza pełna grozy, kiedy burza wstrzymuje oddech - on zaś czuł, że ktoś go dotyka i obłapia. Był to bosman. Jukes rozpoznał jego ręce, tak grube i wielkie, że zdawały się należeć do jakiejś nowej odmiany ludzkiego gatunku. Bosman dotarł na mostek, pełzając pod wiatr na czworakach, i odnalazł nogi pierwszego oficera, trącając je czubkiem głowy. Natychmiast przykucnął i ostrożnie, jak przystało na podwładnego, zaczął badawczo przesuwając ręce po Jukesie.

Był to człowiek pięćdziesięcioletni, niskiego wzrostu, niezgrabny i

prostacki; szczecinowate owłosienie, krótkie nogi i długie ręce upodabniały go do podstarzałej małpy. Siłę miał ogromną. W jego potężnych, bryłowatych łapach, wypchanych jak brązowe rękawice bokerskie na końcu owłosionych ramion, najcięższe przedmioty robiły wrażenie dziecinnych zabawek. Z wyjątkiem siwiejącego zarostu na piersi, groźnej postawy i ochrypłego głosu nie posiadał żadnych cech typowych dla swojego stanowiska. Jego dobroduszość granoczyła z głupotą: marynarze robili z nim, co tylko chcieli, nie miał w sobie za grosz przedsiębiorczości, był pobłażliwy i rozmowny. Dlatego też Jukes nie lubił bosmana i był oburzony, że kapitan MacWhirr uważa go za pierwszorzędnego podoficera.

Bosman wstał, czepiając się płaszcza Jukesa; zdobywał się na tę poufałość z największą delikatnością i tylko zmuszony przez huragan.

- O co chodzi, bosmanie, o co chodzi? - ryczał Jukes niecierpliwie. Czegóż ten cymbał może tu chcieć na mostku? Tajfun rozstroił nerwy Jukesa. W ochrypłych wrzaskach bosmana, jakkolwiek niezrozumiałych, przebijała nuta żywego zadowolenia. Nie ulegało wątpliwości, że stary bałwan był czegoś rad.

Druga ręka bosmana natrafiła na inne ciało, bo zmienionym nagle głosem zaczął wypytywać:

- Czy to pan, panie kapitanie? Czy to pan? - Wiatr zdusił jego ryki.
- Tak! - krzyknął kapitan MacWhirr.



# IV

Z wylewnych wrzasków bosmana kapitan MacWhirr zdołał wydobyć tylko przedziwną wiadomość, że "wszystkich tych kitajców na międzypokładzie coś poniosło, panie kapitanie". Jukes, odwrócony na zawietrzną i oddalony zaledwie o sześć cali od głów tamtych, słyszał ich krzyki, jak w ciszy nocnej słyszy się przez pole głosy dwóch ludzi rozmawiających w odległości pół mili. Słyszał rozdrażnione wołanie kapitana: "Co? Co?", oraz wyteżony, ochrypły głos bosmana: "Wszyscy na kupie... sam widziałem... straszny widok, panie kapitanie... pomyślałem... powiem panu".

Jukes pozostał obojętny, jak gdyby huragan, uniemożliwiając nawet myśl o jakimkolwiek działaniu, zdjął z niego wszelką odpowiedzialność. Poza tym, jako bardzo młody, był tak pochłonięty uzbrajaniem swego ducha na spotkanie z najgorszym, że odczuwał przytłaczającą niechęć do jakiegokolwiek innej czynności. Nie bał się; tego był pewien, bo mimo głębokiego przekonania, że nie dożyje do wschodu słońca, potrafił zachować spokój ducha. Nawet najlepsi ulegają czasami takim chwilowym nastrojom heroicznej bezczynności. Z pewnością niejeden oficer marynarki mógłby sobie przypomnieć z własnego doświadczenia moment, kiedy nagle cała załoga wpadała w stan takiego przeklętego stoicyzmu. Jukes jednak nie znał zbyt dobrze ani ludzi, ani sztormów. Myślał, że jest spokojny - niewzruszenie spokojny; a w gruncie rzeczy był zastraszony; nie całkowicie, ale na tyle, na ile może sobie pozwolić przyzwoity człowiek, nie odczuwając wstrętu do samego siebie.

Owładnęło nim coś w rodzaju duchowego otępienia. Był to skutek długotrwałego i gwałtownego wiatru oraz wyczekiwanie nieznośnie wolno zbliżającej się katastrofy. Poza tym czepianie się życia wśród nadmiernego tumultu wywołuje fizyczne zmęczenie; przenikliwe, zdradzieckie zmęczenie, przeszywające człowieka do głębi, smutkiem i rozpaczą napełniające serce, to niepoprawne serce, które bardziej niż jakiegokolwiek innego daru ziemskiego, bardziej nawet niż samego życia, pragnie spokoju.

Jukes nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia był otępiały. Trwał bardzo mokry, bardzo zziębnięty, z zeszywniałymi kończynami; w chwilach halucynacji ukazywały mu się obrazy (mówią, że tonący widzi całe swoje życie), które niosły rozmaite wspomnienia, niczym nie związane z jego obecnym położeniem. Przypomniawszy sobie na przykład swego ojca; szacowny kupiec, zagrożony ruiną finansową, spokojnie położył się do łóżka i, ogarnięty zniechęceniem, zmarł natychmiast. Jukes oczywiście nie pamiętał wszystkich szczegółów i w gruncie rzeczy nie odczuwał nawet żadnego wzruszenia, ale wydało mu się, że widzi wyraźnie twarz tego biednego człowieka; siebie jeszcze jako chłopca grającego w napoleona w Zatoce Stołowej na pokładzie statku, który zatonął potem z całą załogą; gęste brwi swego pierwszego kapitana; i spokojnie, bez żadnej emocji, jakby to było przed wielu laty, kiedy

wchodził sobie zwyczajnie do pokoju, gdzie siadywała z książką w rękę, ujrzał swoją matkę - również już nieżyjącą - dzielną kobietę, która pozostawiona w ciężkich warunkach, surowo dbała o jego wychowanie.

Wszystko to razem nie mogło trwać dłużej niż sekundę, może nawet krócej. Ciężka ręka spadła mu na ramię: kapitan MacWhirr wołał mu prosto do ucha:

- Jukes! Jukes!

Wyczuł w tym głosie głęboką troskę. Wiatr spadł całą mocą na statek, próbując go przygwoździć wśród fal. Przewalały się one przez pokład jak przez na poły zatopioną kłodę; z oddali dochodziły potęgujące się złowrogie huki i trzaski. Z mroku nocy wypadały grzywacze z widmową poświatą na grzbietach - z lśnieniem piany, która kipiąc wściekle, rzucała blady błysk na smukły kadłub statku, na spiętrzone morze, które na przemian opadało, wrzało i uciekało w popłochu. "Nan-Shan" ani na chwilę nie mógł otrząsnąć się z wody; Jukes, znieruchomiały, dostrzegł w ruchach statku złowieszcze oznaki bezładnego miotania się. To już nie była planowa walka. To początek końca. Energiczny ton w zatroskanym głosie kapitana Mac Whirra zirytował go jako objaw ślepego i zgubnego szaleństwa. Sztorm urzekł Jukesa. Przenikał go do głębi i pochłaniał całkowicie; przykuty był do niego w niemym osłupieniu. Kapitan MacWhirr nie przestawał krzyczeć, ale wiatr jak klinem rozdzielał ich od siebie. Kapitan zawisł na szyi Jukesa, ciężki jak kamień młyński, i nagle zderzyli się głowami.

- Jukes! Panie Jukes! Słuchaj! Musiał odpowiedzieć na ten głos, który nie chciał zamilknąć.

Odpowiedział jak zwykle:

- ...Słucham, panie kapitanie.

I tej samej chwili poczuł w głębi serca, które udręczone sztormem pragnęło jedynie spokoju, narastający bunt przeciw tyranii dyscypliny i posłuszeństwa.

Kapitan MacWhirr mocno trzymał w zagięciu łokcia głowę swojego oficera i tajemniczo przyciskał ją do wrzeszczących ust. Od czasu do czasu Jukes przerywał, rzucając szybkie ostrzeżenie: "Uwaga, panie kapitanie!" - lub też kapitan MacWhirr rykiem napominał: "Trzymaj się pan teraz mocno!" -i cały czarny wszechświat zataczał krąg wraz ze statkiem. Milkli. "Nan-Shan" utrzymywał się jeszcze na powierzchni. Potem kapitan MacWhirr ponawiał swoje krzyki. "...Mówi... cała banda... poniosło ich... trzeba sprawdzić... o co chodzi". Od chwili kiedy huragan z całą siłą uderzył w statek, wszystkie pokłady stały się zagrożone; oszołomieni i przerażeni marynarze skryli się na lewym korytarzu wzdłużnym pod mostkiem. Drzwi prowadzące na rufę zamknęły; było bardzo ciemno, zimno i ponuro. Przy każdym gwałtowniejszym szarpnięciu statku rozlegał się w mroku chóralny jęk i odgłos przewalających się ton wody, które jakby usiłowały wedrzeć się z góry. Bosman próbował ostro przemówić do załogi, ale -jak stwierdził później - nigdy nie zetknął się z bandą ludzi równie nierozsądnych. Było im tam względnie wygodnie i bezpiecznie i nie kazano im

nic robić; a oni tylko narzekali i zrzedzili jak chore dzieciaki. W końcu któryś z nich powiedział, że gdyby mieli dość światła do zobaczenia własnych nosów, to nie byłoby tak źle. Szał go ogarnia, mówił, jak tak leży w ciemnościach i czeka na zatonięcie tej cholernej krypy. - To na co czekasz, idź na górę i od razu odwal kitę -warknął bosman.

Odpowiedzią był chór przekleństw. Najrozmaitsze wymówki zwały się na bosmana. Mieli pretensję, że nie potrafi stworzyć im lampy z niczego. Skamleli o światło, jakby im było potrzebne do tonięcia. Choć było oczywistym, że ich narzekania nie mają sensu - nie było co marzyć o dotarciu do lampiarni, która znajdowała się na dziobie - bosman poczuł się głęboko dotknięty. Uważał, że to nieładnie tak na niego napadać. Powiedział im to i odpłacili mu obelgami. Zasklepił się w rozgoryczonym milczeniu. Jednakże ich narzekania, wzdychania i sarkania bardzo mu działały na nerwy i wreszcie przypomniał sobie, że sześć kulistych lamp wisi na międzypokładzie i zabranie jednej nic by kulisom nie zaszkodziło.

"Nan-Shan" miał w poprzek zasobnie węglową, która, używana czasami na pomieszczenie ładunkowe, połączona była żelaznymi drzwiami z przednią częścią międzypokładzia. Pomieszczenie to stało teraz puste, a wiodący doń złaż był pierwszym na korytarzu wzdłużnym. Bosman mógł się więc tam przedostać, nie wychodząc na pokład; zdziwił się bardzo, że nie potrafił nikogo namówić, aby mu pomógł zdjąć pokrywę z włazu. Niezrażony, sam szukał jej po omacku, ale jeden z marynarzy leżał na drodze i nie chciał się ruszyć. - Przecież chcę wam przynieść tę cholerną lampę, o którą się drzecie - tłumaczył niemal błagalnie.

Ktoś kazał mu się zamknąć, ale głosu niestety nie rozpoznał, a widzieć nie mógł z powodu ciemności. W przeciwnym razie to, było nie było, sprąbny po pysku tego gagatka. Postanowił jednak pokazać im, że bez ich pomocy potrafi przynieść lampę, choćby miał to przypłacić życiem.

Gwałtowne kołysanie statku sprawiało, że każdy ruch połączony był z niebezpieczeństwem. Nawet uleżeć nie było łatwo. Opuszczając się do bunkra, o mało nie skręcił sobie karku. Upadł bezradnie na plecy i zaczęło nim rzucać na wszystkie strony. Nie tylko jego: był w niebezpiecznym towarzystwie jakiejś latającej sztaby żelaznej - pewnie drąg węglarza, który ktoś tu zostawił. Opanował go taki lęk przed tym drągiem, jakby to było dzikie zwierzę. Nie widział go w ogóle, bo w bunkrze pokrytym pyłem węglowym panowały nieprzeniknione ciemności, ale słyszał, jak się ślizga i łaskocze, i obija to tu, to tam, zawsze w pobliżu jego głowy. Robił też niesamowity hałas, łaskocząc, jak gdyby był rozmiarów mostowego dźwigara. Nie mógł tego nie zauważyć, chociaż przez cały czas rzucało nim od lewej do prawej burty i rozpaczliwie starał się zatrzymać, czepiając gładkich ścian bunkra. Drzwi wiodące na międzypokład nie były całkiem szczelne i przez szparę u dołu lśniła mętna smuga światła. Ponieważ był marynarzem, a przy tym człowiekiem w pełni sił,

wystarczyła mu pierwsza okazja, żeby z powrotem stanąć na nogi; szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wstając z podłogi, natrafił ręką na żelazny drąg. W przeciwnym razie bałby się, że połamie mu nogi lub przynajmniej znowu go przewróci. Przez chwilę stał w miejscu. Nie czuł się bezpieczny, bo w ciemnościach ruchy statku wydawały mu się obce, nieprzewidziane i trudno im było przeciwdziałać. Był tak poobijany, że bał się ruszyć, by znowu nie "fajtnąć". Nie miał zamiaru zostać rozłuczony na kawałki w tym bunkrze.

Dwukrotnie uderzył się w głowę i był trochę zamroczony. Zdawało mu się, że nadal wyraźnie słyszy, jak żelazny drąg łoskocze i obija się koło jego głowy, i chcąc się upewnić, że trzyma go bezpiecznie w ręku, zacisnął mocniej palce. Dziwiło go nieco, jak wyraźnie słychać w dole statku szalejący huragan. Wycia i świsty rozbrzmiewały w pustym bunkrze jak ludzkie krzyki wściekłości i bólu - skupione i ogromnie dojmujące. Przy każdym przechyle rozlegały się głucho łomoty - głębokie, ciężkie łomoty, jakby po ładowni szalał jakiś pięciotonowy przedmiot. Ale nic podobnego nie wieźli. Czyżby coś na pokładzie? Niemożliwe. Wzdłuż burty? Wykluczone.

Rozważył to wszystko szybko, jasno, fachowo, po marynarsku, ale nie mógł rozwiązać zagadki. Przytłumiony hałas docierał z zewnątrz wraz z odgłosem chlupotania i przelewania się wody na pokładzie, ponad jego głowę. Może wiatr? Chyba tak. Na dole był taki rumor, jakby wrzeszczał cały tłum wariatów. Sam również poczuł nagle potrzebę światła - choćby po to, by mu przyświecało przy tonięciu - i gwałtowną chęć jak najszybszego wydostania się z bunkra.

Pociągnął za zasuwę: ciężka żelazna płyta odchyliła się na zawiasach; miał wrażenie, że otworzył drzwi samej burzy. Buchnęło nań ochryptym rykiem: powietrze było nieruchome, huk wody nad głowami ginął w harmiderze gardłowych wrzasków, które sprawiały wrażenie rozpaczliwego chaosu. Rozstawił nogi na całą szerokość drzwi i wyciągnął szyję. W pierwszej chwili dojrzał tylko to, po co przyszedł: sześć małych, żółtych płomyków gwałtownie rozkołysanych w ogólnym półmroku.

Wnętrze przypominało chodnik w kopalni: rząd wsporników pośrodku, a nad głowami poprzeczne belki, ciągnące się daleko w mrok - bez końca. Po lewej stronie majaczyła wielka, spadzista bryła, jakby wgłębienie w burcie. Cała przestrzeń, pełna kształtów i cieni, drgała ustawicznym ruchem. Bosman wytrzeszczył oczy: statek przechylił się na prawą burtę. Straszliwy ryk wydobył się z owej bryły obsuwającej się jak góra ziemi.

Kawałki drewna przelatowały ze świstem. "Deski" - pomyślał niezmiernie zdumiony, cofając głowę. Koło jego nóg prześliznęła się na plecach człowiek. Miał szeroko otwarte oczy i starał się podniesionymi rękoma uchwycić coś, czego nie było. Za nim, jak oderwany kamień, przetoczył się inny, z głową między nogami. Zacisnął pięści, warkoczem smagał powietrze. Wyciągnął rękę, by złapać bosmana za nogi; z otwartej dłoni wypadł mu biały błyszczący krążek, potoczył się i stuknął o but bosmana. Rozpoznając srebrny dolar,

bosman krzyknął ze zdziwienia. Z gwałtownym tupotem i szuraniem bosych stóp, wśród gardłowych okrzyków, kopiec wijących się ciał odpadł od ściany i ześliznął się, bezwładny i szamoczący, aż uderzył z tępym łoskotem o prawą burtę. Krzyki ustały. Poprzez wycie i świst wiatru doleciał bosman - na przeciągły jęk i zobaczył przed sobą zawiłą plątaninę głów, ramion, bosych stóp wierzgających w powietrzu, uniesionych pięści, koziołkujących pleców, nóg, warkoczy, twarzy.

- Wielki Boże! - krzyknął przerażony i czym prędzej zatrzasnął żelazne drzwi.

Przyszedł na mostek, żeby o tym powiedzieć. Nie mógł przecież zachować tej wiadomości dla siebie; a na całym statku jest tylko jeden człowiek, któremu warto się zwierzyć. Kiedy wracał, marynarze w korytarzu wymyślali mu od wariatów. Dlaczego nie przyniósł lampy? Co kogo, u diabła, obchodzą kulisi? Ale kiedy znalazł się na pokładzie, wszystko, co działo się w środku, wydało mu się mało ważne w zestawieniu z krytycznym położeniem statku. W pierwszej chwili miał wrażenie, że wyszedł z korytarza właśnie w chwili tonięcia statku. Drabinki prowadzące na mostek były zerwane, ale poniosła go olbrzymia fala, wypełniająca cały tylny pokład. Potem przeleżał pewien czas na brzuchu, trzymając się pierścienia do mocowania lin. Od czasu do czasu łapał powietrze i łykał słoną wodę. Z wysiłkiem posuwał się coraz dalej na czworakach, zbyt oszołomiony i przerażony, aby zawrócić. W ten sposób dotarł na tyły sterówki. W tym względnie osłoniętym miejscu odnalazł drugiego oficera. Bosman był mile zaskoczony - miał wrażenie, że dawno już wszystkich zmyło z pokładu. Zaczął skwapliwie wypytywać o kapitana.

Drugi oficer przykucnął jak złośliwe zwierzątko pod żywopłotem.

- Kapitan? Wpakował nas w tę historię, a sam poszedł za burtę.

Pewnie to samo stało się z pierwszym, ale go to ani ziębi, ani grzeje. Taki sam dureń. Mniejsza z tym. Wszystkich to czeka prędzej czy później.

Bosman wyczołgał się z powrotem na pełny wiatr; jak twierdził, nie dlatego, żeby spodziewał się kogoś znaleźć, tylko po to, aby uciec od "tego człowieka". Czołgał się jak banita, który wyrusza we wrogi świat. Dlatego ucieszył się bardzo, kiedy odnalazł Jukesa i kapitana. Ale to, co działo się na międzypokładzie, stało się już dla niego mało ważne. Poza tym ledwo go mogli usłyszeć. Udało mu się jednak przekazać wiadomość, że Chińczycy przewalają się razem ze swoimi kuferkami i że przychodzi, by o tym zameldować. Co do marynarzy, to nic im nie jest. Potem, uspokojony, osunął się na pokład i na siedząco objął rękami i nogami stojak telegrafu maszynowego - gruby, żelazny słup. Jeżeli to pójdzie, to z pewnością i jego rzuci za burtę. Przestał myśleć o kulisach.

Kapitan MacWhirr zdołał wytłumaczyć Jukesowi swoje życzenie, aby zszedł na dół i zobaczył, co się dzieje.

- Co mam tam zrobić, panie kapitanie? - Drżenie całego mokrego ciała upodabniało głos Jukesa do baraniego beku.

- Najpierw zobaczyć... Bosman... mówi... kotłują się.

- Bosman to skończony bałwan - zawył rozdygotany Jukes. Oburzyła go absurdalność rozkazu. Odczuwał taką niechęć do zejścia w dół, jakby statek miał zatonać natychmiast, kiedy opuści pokład.

- Muszę wiedzieć... nie mogę zejść...

- Sami dojdą do ładu, panie kapitanie.

- Biją się... bosman mówi, biją się... Dlaczego? Nie mogę pozwolić...

bijatyka... na statku... wolałbym zatrzymać pana tutaj... wypadek... gdyby zmyło za burtę... Niech pan to... przerwie... Zobacz pan i powie mnie... przez rurę maszynowni Nie chcę, by pan przychodził tu... za często. Niebezpieczne... chodzenie... po pokładzie. Jukes, z głową jak w kleszczach, zmuszony był słuchać tych rad, które brzmiały dla niego przerażająco.

- Nie chcę... pan zginął... dopokąd... statek nie... Rout... można polegać... Statek... może... przez to... jeszcze w porządku.

Jukes zrozumiał nagle, że musi pójść.

- Czy pan myśli, że on wytrzyma? - wrzasnął. Ale wiatr pochłonał odpowiedź, z której Jukes dosłyszał tylko jedno słowo wypowiedziane z wielką stanowczością: "...Zawsze..." Kapitan MacWhirr wypuścił Jukesa i nachylając się nad bosmanem, ryknął:

- Wracajcie z pierwszym.

Jukes wiedział tylko tyle, że ręka kapitańska osunęła mu się z pleców. Został wysłany z poleceniem - ale jakim? Zdenerwowany, nieopatrznie przestał się trzymać i natychmiast porwał go wiatr. Zdawało mu się, że już nie ma ratunku i że wyleci prosto przez rufę. Bez wahania runął plackiem na pokład, a bosman, idący z tyłu, padł na niego.

- Niech pan jeszcze nie wstaje - wołał bosman. - Nie tak szybko!

Przewaliła się nad nimi fala. Z bełkotów bosmana Jukes zrozumiał, że trapy na mostek są zerwane.

- Spuszczę pana w dół za rękę - wrzeszczał bosman. Krzyczał też coś o kominie, który może już zniósł za burtę. Jukesowi wydało się to bardzo prawdopodobne i wyobraził sobie wygaszone paleniska i statek całkowicie bezradny... Bosman wciąż się wydierał.

- Co? Co mówicie? - wołał Jukes rozpaczliwie; tamten powtórzył:

- Co by moja stara powiedziała, gdyby mnie teraz zobaczyła? W ciemnym korytarzu, gdzie było sporo chlupoczącej wody, marynarze milczeli jak w grobie. Jukes potknął się o jednego z nich i zrugął wściekle za zawalanie drogi. Od razu dwa czy trzy słabe głosy spytały skwapliwie:

- Panie poruczniku, jest jeszcze jakaś nadzieja?

- Co wam jest, bałwany? - ryknął brutalnie. Czuł, że najchętniej sam uwaliby się między nich i nigdy już nie wstał. Natomiast w marynarzy jakby wstąpiła otucha i przy usługnych nawoływaniach: "Uwaga, proszę pana!", "Tu pokrywa włazu!", spuścili go do bunkra. Bosman spadł tuż za nim i skoro tylko stanął na nogach, stwierdził: - Powiedziałyby: "Dobrze ci tak, stary bałwanie, po coś się pchał na morze!"

Bosman nie był bez grosza i lubił robić do tego częste aluzje. Jego żona - kobieta pokaźnej tuszy - i dwie dorosłe córki prowadziły sklep warzywny na East Endzie w Londynie. Jukes, chwając się na nogach, nasłuchiwał w ciemności jakiegoś stukotania, podobnego do dalekich grzmotów. Miał wrażenie, że tuż przy nim trwał przytłumiony ciągły wrzask, a na te bliskie hałasy nakładał się dochodzący z góry głośniejszy łoskot sztormu. Kręciło mu się w głowie. On też odczuł kołysanie w bunkrze jako coś nieznanego i pełnego grozy, co wysysało z niego chęć działania, jak gdyby nigdy przedtem nie pływał po morzu.

Chętnie wygramoliłby się z powrotem na górę, ale wstrzymywało go wspomnienie głosu kapitana MacWhirra. Miał rozkaz pójść i zobaczyć. Chciałby wiedzieć, po co. Powiedział sobie z wściekłością, że zobaczy - i to jak! Bosman, potykając się niezdarnie, ostrzegł, by ostrożnie otwierał drzwi; biją się tam jak cholera. A Jukes, rozdrażniony jak człowiek, którego coś bardzo boli, zażądał wyjaśnienia, o co, do diabła, ta bijatyka.

- O dolary! Dolary, panie poruczniku. Porozbijały się wszystkie te ich dziadowskie kufarki. Pieniądze latają, psiakrew, po całej podłodze, a oni ganiają za nimi, tarzają się, gryzą, szarpią - zupełnie zwierzęta. Prawdziwe piekło.

Jukes otworzył drzwi jednym szarpnięciem. Niski bosman wyglądał mu spod ramienia.

Jedna lampa zgasła, pewnie rozbita. Ogłuszały ich zawzięte, gardłowe krzyki i przeraźliwy odgłos sapania, wydobywający się z masy wytężonych pnie. Potężny cios uderzył w burtę statku: nad ich głowami runęła z łoskotem woda, a w gęstym i czerwonym powietrzu, na tle ponurej głębi, Jukes zobaczył głowę wściekle uderzającą o pokład, dwie mocne łydki drgające w powietrzu, muskularne ramiona oplatające nagi korpus; żółta twarz z otwartymi ustami i znieruchomiałym, dzikim wzrokiem spojrzała na nich i znikła. Pusty kuferek zaklekotał, koziołkując; jakiś człowiek rzucił się głową naprzód, niby poderwany kopnięciem, a dalej, w głębi, inni, ledwo widoczni, przewalali się jak kupa kamieni toczonych z nasypu, tupiąc stopami o pokład i dziko machając rękami. Drabinka prowadząca do luku oblepiona była ludźmi, którzy roili się jak pszczoły na gałęzi. Zwisali ze stopni jak rozedrgana, pełzająca chmara, waląc pięściami w spód zaklinowanej pokrywy luku; w przerwach między wrzaskami słychać było w górze bliski pęd wody. Statek przechylił się silniej i Chińczycy

zaczęli odpadać od drabinki: najpierw jeden, potem drugi, potem cała reszta zwała się, krzycząc przeraźliwie.

Jukes był zbity z tropu. Bosman, zaniepokojony, upomniał go szorstko:  
- Niech no pan tylko tam nie wchodzi.

Zdawało się, że całe pomieszczenie wiruje, nie przestając ani na chwilę podskakiwać; a kiedy statek wspiął się na falę, Jukes miał wrażenie, że wszyscy ci ludzie kupą zwałą się na niego. Cofnął się, zatrzasnął drzwi i trzęsącymi się rękoma zamknął zasuwę... Kapitan MacWhirr, sam na mostku po odejściu pierwszego oficera, przesuwając się bokiem i potykając, dotarł wreszcie do sterówki. Ponieważ drzwi otwierały się na zewnątrz, musiał najpierw stoczyć z wichurą walkę o prawo wstępu. Powiodło mu się wreszcie - z gwałtownym trzaskiem i hukem, jak gdyby został wstrzelony przez drewnianą ścianę. Stał wewnątrz, trzymając się klamki.

Z urządzenia sterowego ulatywała para i w ciasnej sterówce szkło pokrywy kompasu lśniło świetlistym owalem poprzez rzadką, białą mgłę. Wiatr wył, zawodził i świstał, a nagłe ciosy podmuchów, przy wściekłym bębnieniu bryzgów wody, szarpały drzwiami i klapami okien. Dwa zwoje linki sondowej i małe brezentowe wiadro zawieszona na długiej linie odchyłały się od ścianki - i znowu do niej przywierały. Kratownica pod stopami niemal pływała, a przy każdym uderzeniu fali woda tryskała przez szpary dookoła drzwi. Marynarz przy sterze zrzucił czapkę i płaszcz i stał przyparty do obudowy steru w pasiastej, bawełnianej koszuli, rozpiętej na piersi. Małe mosiężne koło w jego rękach sprawiało wrażenie błyszczącej i delikatnej zabawki. Na szyi wystąpiły mu twardo napięte ścięgna, czarna plama zaznaczała wgłębienie pod krtanią, twarz miał zastygłą i zapadniętą jak u trupa.

Kapitan MacWhirr otarł oczy. Zły był, bo fala, która go prawie zmiotła za burtę, porwała mu z łysej głowy zydwestkę. Meszek jasnych włosów, namokłych i pociemniałych, oblepiał płataniną nitek świecąca czaszkę. Twarz miał lśniącą od wody i purpurową od chłostania wiatru i bryzgów. Wyglądał, jakby zlany potem odszedł właśnie od paleniska.

- Pan tu? - mruknął ociężale.

Drugi oficer przedostał się do sterówki i był tam już od pewnego czasu. Wcisnął się w kąt i siedział z podkurczonymi kolanami, pięściami ściskając skronie; jego postawa wyrażała wściekłość, smutek, rezygnację, poddanie się losowi i jakąś napiętą zawziętość. Odpowiedział ponuro, a zarazem buntowniczo:

- Przecież teraz nie moja wachta, no nie?

Urządzenie sterowe zaklekotało, stanęło i znów zaklekotało; gałki oczne sternika zdawały się wyskakiwać z wygodniałej twarzy, jak gdyby zamiast róży kompasowej pod szkłem pokrywy leżał kawałek mięsa. Bóg raczy wiedzieć, jak długo stał już tak przy sterze, zapomniany przez kolegów. Nikt nie wydzwaniał



godzin, nie zmieniano wachty; dyscyplinę okrętową diabli wzięli; mimo to próbował utrzymać statek na kursie północno-północny wschód. Nie wiedział nic. Równie dobrze ster mógł być już zerwany, paleniska zalane, maszyny uszkodzone i statek gotowy przewrócić się do góry dnem jak trup. Bał się, by nie stracić kierunku i panowania nad statkiem, bo róża kompasowa kręciła się w obie strony, chybotając na szpilce, a chwilami zdawała się wirować dookoła. Był wymęczony ciągłym napięciem uwagi. Nękał go też okropny strach, aby nie zniosło sterówki. Rozwalały się o nią góry wody. Przy jednym z rozpaczliwych zanurzeń statku zadrgały mu kąciki ust.

Kapitan MacWhirr rzucił okiem na zegar sterówki. Był przyśrubowany do ścianki grodziowej i miał białą tarczę, na której wskazówki zdawały się stać w miejscu. Było wpół do drugiej rano.

- Nowy dzień - mruknął do siebie. Dosłyszał go drugi i podnosząc głowę jak człowiek rozpaczający wśród ruin, wybuchnął:

- Nie zobaczy go pan. - Widać było, jak mu się trzęsą przeguby rąk i kolana.  
- Nie, na Boga, pan go nie zobaczy...

Znów ujął głowę między pięści.

Sternik poruszył lekko ciałem, ale jego głowa, jakby należąca do kamiennego posągu, ze wzrokiem utkwionym w jedną stronę, nawet nie drgnęła. Statek przechylił się, omal nie zwalając z nóg kapitana, który walcząc o odzyskanie równowagi, powiedział ostro:

- Nie zwracajcie uwagi na to, co on gada. - Potem dodał bardzo poważnie z nieuchwytną zmianą w tonie: - On nie jest na służbie.

Marynarz nie odpowiedział nic.

Huragan huczał, trzęsąc małą kabiną, która wydawała się hermetycznie zamknięta; światło kompasu drgało ustawicznie.

- Nie zastąpili was - ciągnął kapitan MacWhirr, nie podnosząc oczu. - Chciałbym jednak, byście wytrwali przy sterze jak najdłużej. Jużście się wczuli. Inny mógłby narobić bigosu. Nic by z tego nie wyszło. To nie żarty. Zresztą załoga pewnie ma robotę na dole... Dacie radę?

Urządzenie sterowe wydało krótki urywany klekot i stanęło, dymiąc jak żarzące się węgle; nieruchomy sternik o skamieniałym spojrzeniu wybuchł nagle, jakby cała wściekłość rzuciła mu się do ust:

- Na miłość boską, panie kapitanie! Mogę sterować do końca świata, jeżeli nikt nie będzie się do mnie odzywał.

- Tak, tak... w porządku... - Kapitan po raz pierwszy podniósł wzrok na sternika. - Hackett...

Robił wrażenie, jakby uznał temat za wyczerpany. Nachylił się nad rurą głosową prowadzącą do maszynowni, dmuchnął w nią i przyłożył ucho. Z dołu odezwał się głos Routa i kapitan MacWhirr natychmiast zbliżył usta do otworu.

Otoczony ze wszystkich stron hukiem wiatru, kapitan przytykał na zmianę to usta, to ucho, wychwytyjąc głos mechanika, ochryply, jakby prosto z pola bitwy. Jeden z palaczy był poturbowany, reszta dała za wygraną, drugi mechanik i starszy palacz podtrzymywali ogień. Trzeci mechanik stoi przy zaworze parowym. Obroty maszyny regulowane są ręcznie. A jak tam na górze?

- Kiepsko. Zależy głównie od pana - powiedział kapitan MacWhirr. - Czy pierwszy jest już na dole? Nie? To zaraz się zjawi. Proszę mu pozwolić rozmówić się przez rurę głosową - przez rurę na mostek, bo on, kapitan, zaraz wraca na mostek. Jakies kłopoty z Chińczykami. Podobno biją się. Nie można na to pozwolić...

Pan Rout odszedł, a kapitan wyczuwał uchem pulsowanie maszyn, niczym bicie serca statku. Z daleka doszedł go głos Routa, który coś krzyknął. Statek dał nura dziobem w dół, pulsowanie maszyn zamieniło się w burzliwy świst i ustało. Twarz kapitana MacWhirra pozostała niewzruszona, wzrok utkwiony nieruchomo w skuloną postać drugiego. Znowu rozległ się w głębi krzyk Routa, znowu maszyny zaczęły pulsować powoli - coraz prędezej.

Pan Rout wrócił do rury głosowej.

- Niech sobie robią, co chcą - powiedział spieszenie, a potem dodał z irytacją: - Nurkuje, jakby już nie miał zamiaru się wynurzyć.

- Straszna fala - zabrzmiał z góry głos kapitana.

- Niech mu pan nie da zajechać na dno - odszczeknął Salomon Rout do rury.

- Ciemno i deszcz. Nie widzę, co idzie - mówił głos. - Trzeba utrzymać go... na chodzie... na tyle, żeby... móc sterować... muszę ryzykować - wyskandował dobitnie.

- Robię, co tylko mogę.

- Porządnie nas tu - pogruchotało - na górze - ciągnął głos łagodnie. - Jednak trzymamy się nie najgorzej. Oczywiście, gdyby zniósło sterówkę...

Pan Rout, nadstawiając uważnie ucha, zrzędził coś pod nosem.

Ale spokojny głos z góry ożywił się nagle, pytając:

- Jukes już jest? - A potem, po krótkiej przerwie: - Chciałbym, żeby mi tu pomógł. Niech skończy, co ma do zrobienia, i na wszelki wypadek przyjdzie jak najprędezej na górę. Trzeba kierować statkiem. Jestem sam. Drugiego diabli wzięli...

- Co? - krzyknął Rout na maszynownię, odrywając głowę od rury. Potem zaś do otworu:

- Za burtę - i przytknął ucho.

- Nie, dostał bzika - ciągnął rzeczowo głos z góry. - Cholerny pech.

Rout nasłuchiwał z przygiętym karkiem, szeroko otwierając oczy. Z góry dochodziły odgłosy jakby bójki i oderwane krzyki. Wytężał słuch; a przez cały

ten czas Beale, trzeci mechanik, stał z wzniesionymi rękami, trzymając w dłoniach małe czarne kółko wystające z jednej strony dużej miedzianej rury; zdawał się je unosić nad głową, jakby przybierając przepisową postawę w jakiejś grze.

Dla utrzymania równowagi oparł się ramieniem o białą grodź, zgiął jedno kolano, a gałgan do ocierania potu, wetknięty za pasek, zwiślał mu na biodro. Gładki policzek miał umazany i zarumieniony; pył węglowy na powiekach sprawiał wrażenie kresiek, zrobionych czarną kredką, i uwydatniał lśniące białka oczu; było w jego młodzieńczej twarzy coś kobiecego, egzotycznego, fascynującego. Kiedy statek dawał nura, szybkimi ruchami rąk skręcał mocno małe kółko.

- Zwariował - odezwał się nagle głos kapitana przez rurę. - Rzucił się na mnie... Właśnie przed chwilą. Musiałem mu dać w szczękę... Dopiero co. Słyszał pan?

- A niech to diabli! - mruknął Rout. - Uważaj, Beale!

Między żelaznymi ścianami maszynowni jego krzyk zadźwięczał, jakby ktoś zatrąbił na alarm. Białe malowane ściany wznosiły się wysoko aż do mrocznej plamy spadzistego jak dach świetlika. Wysokie pomieszczenie przypominało wewnątrz pomnika podzielonego na platformy z żelaznych krat; na różnych poziomach drgały światła lamp, a pośrodku, tam gdzie płąsały smukłe części maszyny pod nieruchomym masywem cylindrów, czaił się ponury mrok. Wszystkie dzikie odgłosy huraganu odbijały się głośnie echem w ciepłe stojące powietrze. Unosiła się lekka mgła pary, pachniało rozgrzanym metalem i smarami. Uderzenia fal zdawały się wędrować przez całe pomieszczenie bezdźwięcznym, tępym wstrząsem. Na gładkich powierzchniach metalu drgały błyski podobne do bladych wydłużonych płomyków; spod dolnej platformy wynurzały się kolejno ogromne korby i znikwały, błyskając mosiądzem i stalą. Korbowody o grubych przegubach, podobne do kończyn szkieletu, z nienaganną precyzją to pchały je w dół, to ciągnęły w górę. A w głębi, w półmroku, inne trzony przemyślnie uskakiwały tam i z powrotem, kulisy kiwały się, opaski mimośrodów pocierały gładko jedna o drugą, powoli i łagodnie, wśród wzorzystej mieszanki cieniów i blasków. Chwilami wszystkie te zdecydowane i bezbłędne ruchy stawały się jednocześnie wolniejsze, jakby zależne były od pracy żyjącego organizmu porażonego nagłą niemocą. Wtedy oczodoły pana Routa ciemniały jeszcze bardziej w jego podłużnej ziemistej twarzy. Do boju stanął w bamboszach i krótkim, wyświeconym kubraku, ledwo zakrywającym biodra. Białe przeguby rąk wystawały daleko poza obcisłe rękawy, jakby krytyczna sytuacja zmieniła go w olbrzyma o wydłużonych kończynach, bledszego niż zwykle i o jeszcze głębiej zapadłych oczach.

Był w ciągłym ruchu. Wspinał się wysoko i znikał w dole z niezmordowaną celowością, a kiedy przystawał, trzymając się poręczy, naprzeciwko mechanizmu rozruchowego, zerkał nieustannie w prawą stronę na manometr

kotłowy i na wodowskaz, umocowane nabiętej ścianie w świetle rozbujaanej lampy. Tuż przy nim głupkowato rozdziawiały paszcze otwory dwu rur głosowych; tarcza telegrafu maszynowni przypominała ogromnych rozmiarów zegar, na którym cyfry zastąpione zostały przez krótkie słowa. Wokół osi wskaźnika rzucały się w oczy grupy czarnych, grubych liter - wymowne symbole głośnych okrzyków: NAPRZÓD, WSTECZ, WOLNO, PÓŁ, UWAGA; gruba czarna wskazówka skierowana była w dół na słowo CAŁA, które, tak wyróżnione, przyciągało oko jak przeszywający krzyk przykuwa uwagę.

Obity deskami pękaty cylinder niskiego ciśnienia puszył się dostojnie u góry, wydając przy każdym suwie tłoka słabe sapanie; i z wyjątkiem tego przy duszonego syku, stalowe kończyny maszyn poruszały się to szybko, to wolno, z cichą i gładką determinacją. I wszystko dookoła Salomona Routa - białe ściany, poruszająca się stal, płyty pod nogami, żelazne kraty platform nad głową, mrok i błyski - wszystko to unosiło się i zapadało nieustannie w takt fal uderzających o burzę statku. Wysokie wnętrza rozbrzmiewające głuchym echem huraganu chwiało się u góry jak szczyt drzewa i przewalało się na boki całym ciężarem pod naporem potężnych ciosów.

- Musi pan lecieć na górę - zawołał pan Rout, kiedy tylko Jukes ukazał się na progu kotłowni. Oczy Jukesa były rozbiegane i błędne, czerwona twarz napuchnięta jak po zbyt długim śnie. Miał za sobą uciążliwą drogę, którą pokonał z niebywałą zręcznością, wysilając całą swoją bystrość umysłu na równi z mięśniami ciała. Szybko wydostał się z bunkra i przeszedł ciemny korytarz, potykając się o oszołomionych ludzi, którzy, gdy na nich następował, pytali wystraszonym szeptem: "Co się tam dzieje, panie poruczniku?"; potem po żelaznym trapie w dół do kotłowni zsuwał się w pośpiechu po parę stopni, aż znalazł się w pomieszczeniu głębokim jak studnia, czarnym jak otchłań, huśtającym się tam i z powrotem jak wahadło. Woda w zężach grzmiała przy każdym rozkołysie, a bryły węgla skakały to tu, to tam, od jednego końca do drugiego, grzechocząc jak lawina żwiru na żelaznym zboczu. Ktoś tam jęczał z bólu, a ktoś inny schylał się nad czymś, co wyglądało jak rozciągnięty na ziemi trup; jakiś silny głos wykrzykiwał bluźnierstwa, a blask wydobywający się spod drzwi palenisk wyglądał jak jaskrawa kałuża krwi rozjaśniająca aksamitną czerń. Wiatr smagnął Jukesa po karku, a w chwilę potem poczuł prąd powietrza na mokrych kostkach nóg. Wentylatory kotłowni mruzczały monotennie; przed sześcioma drzwiczkami palenisk dwie dziko wyglądające postacie, obnażone do pasa, zataczały się i pochylały, mocując się z dwiema szuflami.

- No! Ciągnie teraz na całego - ryknął natychmiast drugi mechanik, jakby przez cały czas wyczekiwał Jukesa. Mały i zwinny facecik, starszy palacz, o uderzająco jasnej skórze i rudym wąsiku, pracował w niemym zapamiętaniu. Utrzymywali pełne ciśnienie pary i głębokie dudnienie, jakby odgłos pustego wozu meblowego jadącego po moście, tworzyło nieprzerwany basowy akompaniament dla wszystkich innych hałasów w tym pomieszczeniu.

- Prawie cały czas blazuje - wrzeszczał bez ustanku drugi mechanik. Z dźwiękiem podobnym do szorowania stu garnków naraz otwór wentylatora chlusnął mu nagle na ramię strumień słonej wody i z ust mechanika potoczył się grad przekleństw skierowanych przeciwko wszystkiemu, co na ziemi, łącznie z jego własną duszą; miotając się jak wariat, nie ustawał jednak w swojej pracy. Rozległ się przenikliwy szczęk metalu i rozjarzony, blady płomień oświetlił kulistą głowę, bełkoczące usta i zuchwałą twarz. Potem znów brzęk i rozpalone do białości żelazne oko pieca zamknęło się z powrotem.

- No i gdzie my teraz, cholera, jesteśmy? Niech no pan powie. Psiakrew... Pod wodą czy co? Leci na łeb tonami. Czy te przeklęte głowice nawiewników diabli wzięli? Co? Ale co taki niby przyjemniaczek matros może wiedzieć?...

Jukes stał przez chwilę całkiem oszołomiony, potem nagły przechył cisnął nim i pomógł wypaść do sąsiedniego pomieszczenia. Ledwo zdążył objąć wzrokiem względnie przestronną, spokojną i jasną maszynownię, rufa statku zapadła głęboko w morze, wyrzucając go jak z procy głową naprzód, prosto w pana Routa.

Ramię mechanika, długie jak macka, wyskoczyło ku niemu niby poruszone sprężyną. Jukes, odepchnięty, zakołował w kierunku rur głosowych. Jednocześnie Rout powtórzył z powagą:

- Tak czy owak, musi pan lecieć na górę. Jukes ryknął:

- Jest pan tam, kapitanie? - i nadsłuchiwał. Cisza. Wycie wiatru uderzyło go nagle prosto w ucho, ale zaraz cichy głosik odepchnął spokojnie wrzask huraganu.

- To pan? No i co?

Jukes był gotów opowiadać, tylko czasu brakło. Bez trudu mógłby wszystko wyjaśnić. Doskonale sobie wyobrażał, jak kulisi, zamknięci szczelnie w cuchnącym międzypokładzie, leżeli chorzy i wystraszeni między rzędami swoich kuferków. Potem jeden z kuferków - a może kilka naraz - zrywa się podczas przechyłu z umocowania - przewraca następne; pękają ścianki, otwierają się wieka i wszyscy nieporadni Chińczycy rzucają się jak jeden mąż ratować swoje mienie. Potem już każdy następny ruch statku przewalał z boku na bok ten tratujący, ryczący tłum, w chaosie pękających desek, dartych ubrań i toczących się dolarów. Raz rozpoczętej bijatyki nie byli w stanie przerwać. Teraz nic ich już nie może powstrzymać - z wyjątkiem przemocy. Prawdziwy kataklizm. Widział to na własne oczy i nie ma już nic do dodania. Pewnie są i zabici. Reszta będzie się bić...

Wysyłał słowa, które, potykając się jedno o drugie, wypełniały wąską rurę głosową. Ulatywały w jakąś ciszę pełnego zrozumienia, przebywającego w górze, sam na sam ze sztormem. A Jukes bardzo chciał nie mieć już nic więcej wspólnego z tą wstrętną awanturą, która wybuchła w tak krytycznej dla statku chwili.



Czekał. Przed oczyma miał mozolnie pracujące maszyny, które w chwili nabierania szalonego pędu stawały na krzyk pana Routa: "Uważaj, Beale!" Nieruchomiały posłuszne wespół obrotu, ciężki wał korbowy zatrzymywał się w ukośnej pozycji, jakby świadom niebezpieczeństwa i upływu czasu. Potem, ze świstem wydechu przez zaciśnięte zęby, z ust pierwszego mechanika padało: "No, ruszamy" i maszyny kończyły przerwany obrót i zaczynały następne.

Poruszały się ostrożnie, z przezorną mądrością i rozmysłem, używając swojej potężnej siły. Zadaniem ich było cierpliwie nakłaniać oszalały statek, by ponad furją fal trzymał się dziobem do wiatru. Czasami pan Rout opuszczał brodę na piersi i marszcząc brwi, wpatrywał się w maszyny głęboko zamyślony.

Głos, który odgradzał huragan od ucha Jukesa, zaczął:

- Weź pan ze sobą marynarzy... - i urwał niespodziewanie.
- Co mam z nimi robić, panie kapitanie?

Rozległ się nagle ostry, krótki, nagły brzęk. Trzy pary oczu podniosły się szybko na tarczę telegrafu, gdzie wskazówka, jakby targnięta przez diabła, skoczyła z CAŁA na STOP. Potem trzech ludzi w maszynowni poczuł wyraźne zahamowanie statku, dziwne skurczenie, jakby zbierał się w sobie do rozpaczliwego skoku.

- Stop! - ryknął Rout.

Nikt - nawet kapitan MacWhirr, który jeden jedyny na pokładzie dojrzał białą linię piany, zbliżającą się na takiej wysokości, że nie mógł uwierzyć własnym oczom - nikt nie mógł wiedzieć, jak stroma była fala i jak straszną przepaść drażył huragan za pędzącą ścianą wody. Gnał na spotkanie statku, który zatrzymał się na chwilę, jakby zbierając siły, uniósł dziób i dał susa. Płomienie przygasły we wszystkich lampach i w maszynowni pociemniało. Jedno światło znikło. Z gwałtownym trzaskiem i wściekłym rykiem tony wirujących wód waliły się na pokład, jakby statek znalazł się u stóp wodospadu. Ludzie w dole patrzyli na siebie osłupiali.

- Boże drogi, cały pod wodą! - wrzasnął Jukes.

"Nan-Shan" dał nura prosto w otchłań, jakby stoczył się poza skraj ziemi. Maszynownia przechyliła się niebezpiecznie do przodu, niby wewnątrz wieży kiwającej się podczas trzęsienia ziemi. Z kotłowni doleciał potworny łoskot spadającego żelastwa. Statek trwał w tym przerażającym pochyleniu tak długo, że Beale zdążył paść na ręce i kolana i popełzać, jakby zamierzał na czworakach uciec z maszynowni, podczas gdy pan Rout powoli odwrócił głowę, ukazując twarz sztywną, zapadłą, z opadającą szczęką. Jukes zamknął oczy i przez chwilę sprawiał wrażenie ślepcy o łagodnej, pozbawionej wyrazu twarzy.

Wreszcie statek zaczął się powoli wynurzać, mozolnie i z wysiłkiem, jak gdyby dziobem podważał górę.

Pan Rout zamknął usta; Jukes zamrugał oczami, a mały Beale poderwał się spieszenie.

- Jeszcze jedna taka i koniec - zawołał pierwszy mechanik. Potem spojrzeli na siebie z Jukesem i ta sama myśl przyszła im do głowy. Kapitan! Tam z pewnością wszystko zerwane. Zniosło urządzenia sterowe - statek jak kłoda. Zaraz będzie po wszystkim.

- Leć tam - wyrzucił z siebie ochrypłym głosem Rout, wlepiając pytająco rozszerzone źrenice w Jukesa, który odwzajemnił się niepewnym spojrzeniem. Brzęk gongu telegrafu uspokoił ich natychmiast. Czarna wskazówka ze STOP opadła błyskawicznie na CAŁA.

- Beale, ruszamy! - krzyknął Rout.

Para zasyczała lekko. Trzony tłoków zaczęły się wsuwać i wysuwać. Jukes przytknął ucho do rury. Głos już tam czekał na niego. Mówił:

- Niech pan pozbiera wszystkie pieniądze. Trzeba pomóc. Będzie mi pan tu potrzebny. - I to było wszystko.

- Panie kapitanie! - zawołał Jukes ku górze. Odpowiedzi nie było.

Odszedł od rury chwiejnym krokiem jak pokonany z pola bitwy. Rozciął sobie w jakiś sposób czoło nad lewą brwią - rozciął aż do kości. Nie zdawał sobie z tego wcale sprawy: tony chińskich wód, które razem wzięte bez trudu skrzyłyby mu kark, przewaliły się przez jego głowę, oczyszczając, myjąc i soląc ranę. Nie krwawiła wcale, ziała tylko czerwienią; owo rozcięcie nad okiem, potargane włosy i ubranie w nieładzie nadawały mu wygląd człowieka poturbowanego w bójce na pięści.

- Mam iść zbierać dolary - szukał zrozumienia u pana Routa, uśmiechając się żałośnie i niepewnie.

- Co takiego? - spytał Rout porywczo. - Zbierać?... Co mnie to obchodzi... - Potem, drżąc na całym ciele, ale tonem przesadnie ojcowskim: - Idź już pan teraz, na miłość boską. Wy, pokładowi, doprowadzacie mnie do szału. Ten drugi już rzucał się na starego. Co, nie wie pan? Dostajecie fioła, bo nie macie nic do roboty...

Pod wpływem tych słów Jukes poczuł wzbierający gniew. Nic do roboty - też coś... Pełen głębokiej pogardy dla pierwszego mechanika, odwrócił się i ruszył z powrotem. W kotłowni pulchny palacz ze swoją szuflą harował w milczeniu, jakby mu obcięto język; za to drugi mechanik hałasował jak nieposkromiony maniak, który zachował umiejętność obsługiwanego kotła okrętowego.

- Hej tam! Wędrowni oficerze! Nie mógłby pan przysłać mi paru swoich sprytnych brudasów do wyrzucania popiołu? Już nas tu zatyka. Do cholery! Ej! Pamiętaj pan o regulaminie: Marynarze i palacze mają udzielać sobie



wzajemnie pomocy w razie potrzeby. Co! Słyszysz pan?

Jukes drapał się gorączkowo w górę, a tamten, zadartszy ku niemu głowę, ryczał:

- Straciłeś język w gębie? Czegoś tu nos wtykał? O co ci w ogóle chodzi?

Szał ogarnął Jukesa. Kiedy wreszcie znalazł się z powrotem wśród marynarzy w ciemnym korytarzu, gotów był ukręcić głowę każdemu, kto by tylko próbował się ociągać. Wściekał się już na samą myśl o tym. On nie mógł się ociągać. Oni nie powinni.

Wpadł między marynarzy z taką gwałtownością, że porwał wszystkich za sobą. Już i tak byli podnieceni i zaskoczeni jego ciągłym pojawianiem się i znikaniem - ruchami szybkimi i zaciekłymi; wyczuwali nawet raczej, niż widzieli jego miotanie się, kryjące w sobie grozę spraw życia i śmierci, które nie cierpiały zwłoki. Ledwo zdążył otworzyć usta, a już usłyszał, jak posłusznie, jeden za drugim, z głuchym łomotem zeskakują ciężko do bunkra. Nie wiedzieli, co mają robić. "O co chodzi? O co chodzi?" - dopytywali się wzajemnie. Bosman próbował wyjaśnić; zdziwiły ich odgłosy zawziętej walki, a potężne wstrząsy, które w czarnym bunkrze rozbrzmiewały przerażającym echem, przypominały o zagrażającym niebezpieczeństwie. Kiedy bosman mocnym pchnięciem otworzył drzwi, wyglądało to, jakby huragan przedarł się był przez żelazne burty okrętu i wprawił w wir wszystkie te ciała niby tuman pyłu; ogłuszyły ich zmieszane wrzaski i burzliwy zgiełk, wściekłe charkoty, zamierające wybuchy krzyków, dudnienie stóp splecione z grzmotami fal.

Przez chwilę gapili się, stłoczeni w drzwiach. Jukes roztrącił ich brutalnie. Bez słowa wpadł do środka. Inna grupa kulisów, uczepiona drabiny, czyniła samobójcze wysiłki, by przebić się przez umocowaną pokrywę luku na zalany wodą pokład; po czym oderwała się - jak przedtem - i runęła na Jukesa, który znikł jak człowiek zasypany obsuwającą się ziemią. Bosman wrzasnął podniecony:

- Chodźcie. Ratujcie porucznika. Stratują go na śmierć. Ruszać się.

Rzucili się do ataku, deptając po piersiach, palcach, twarzach, potykając się o kupy ubrań, kopiąc połamane kawałki drewna; zanim go jednak zdołali wydostać, Jukes wynurzył się sam, zanurzony po pas w tłumie szarpiących go rąk. Natychmiast potem znowu znikł im z oczu, bez ani jednego guzika, z marynarką rozdartą po kołnierz, kamizelką w strzępach. Główne kłębowisko walczących Chińczyków przewaliło się przy przechyle - ciemne, niewyraźne, bezwładne, łyskające w mętym świetle lamp setkami dzikich oczu.

- Zostawcie mnie, psiakrew! Nic mi nie jest - zaskrzeczał Jukes. - Zagnajcie ich do przodu. Czekać okazji, kiedy się statek kiwnie na dziób. Na przód. Aż do grodzi. Zablokować ich.

Wtargnięcie marynarzy na skotłowany międzypokład było podobne do chluśnięcia zimnej wody we wrzący kocioł. Zamieszanie opadło na chwilę.

Większość Chińczyków zbита była w tak zwartą masę, że marynarze, z pomocą straszliwego przechyłu statku, szczepili się ramionami i popchnęli ich za jednym zamachem do przodu jak jednolitą bryłę. W tyle zostało tylko parę mniejszych wiązek i kilka pojedynczych ciał, które przewalały się od burty do burty.

Bosman dokazywał cudów siły. Szeroko rozpostarwszy długie ramiona, chwycił ogromnymi łapami wsporniki i zatrzymał toczący się nań gład splecionych ze sobą siedmiu Chińczyków. Zatrzeszczało mu w stawach; powiedział: "ha!", i rozlecieli się na strony. Cieśla jednak okazał się bardziej przemyślny. Nie mówiąc nikomu ani słowa, wrócił na korytarz po parę zwojów lin z łańcuchami do wiązania towaru, które tam uprzednio zauważył. Posłużyły teraz jako odgradzające liny ubezpieczające.

Nie napotkali właściwie na żaden opór. Bijatyka, jakikolwiek był jej początek, przerodziła się wkrótce w paniczną szarpaninę. Kulisi, którzy zrazu rzucali się za swoimi rozsypanymi dolarami, teraz bili się już tylko o grunt pod nogami. Łapali jeden drugiego za gardło po to jedynie, aby uchronić się od stratowania. Kto zdołał uchwycić się czegokolwiek, kopał innych, którzy czepiali się kurczowo jego nóg, dopóki następny przechył nie rzucił ich wszystkich razem na drugą burtę.

Pojawienie się białych diabłów wywołało zgrozę. Czy przyszli ich pozabijać? Pojedynczo, oddzieleni od tłumu, stali się całkowicie bezwładni w rękach marynarzy: niektórzy, odciągnięci za nogi na bok, leżeli bierni, z otwartymi oczyma i nieruchomym wzrokiem, jak trupy. Tu i ówdzie jakiś kulis padał na kolana, jakby błagając o łaskę; kilku oszalałych z nadmiernej trwogi powalono ciosem pięści między oczy; ranni znosili szorstkie traktowanie bez skarg, mrugając tylko pośpiesznie powiekami. Twarze ociekały krwią, na ogolonych łbach czerwieniały otwarte rany, podrapania, sińce, wyszarpane ciało, rozcięcia. Te ostatnie spowodowane były głównie potłuczoną porcelaną z kuferków. Tu i ówdzie jakiś Chińczyk z błędnym wzrokiem i rozplecionym warkoczem pielęgnował krwawiącą stopę.

Uległych kulisów uporządkowano w ciasnych rzędach; niejednego trzeba było uspokoić szturchańcem lub szorstkimi słowami otuchy, które brzmiały jak groźba. Siedzieli teraz na pokładzie w upiornych kiwających się rzędach, a cieśla z dwoma pomocnikami uwijał się, naciągając i umocowując liny zabezpieczające. Bosman, uczepiony jedną nogą i ręką wspornika, mocował się z przyciśniętą do piersi lampą, usiłując ją zapalić, i pomrukiwał przy tym jak pracowity goryl. Sylwetki marynarzy nachylały się rytmicznym ruchem żeńców; przerzucali do bunkra wszystko: ubrania, kawałki połamanego drewna i potłuczoną porcelaną, a także dolary wyjęte z kieszeni kurtek. Co pewien czas któryś z marynarzy zataczał się ku drzwiom z naręczem rupieci i odprowadzały go żałosne spojrzenia skośnych oczu. Przy każdym rozkołysie długie szeregi siedzących obywateli Państwa Niebieskiego kładły się do przodu nierówną linią, a przy każdym silniejszym przechyle wzdłużnym rzędy łbów zderzały się ze

sobą na całej długości międzypokładzia. Kiedy na chwilę ustawał szum wody przewalającej się przez pokład, Jukes, drżący całym ciałem po przebytej walce, miał wrażenie, że to jego nieludzkie zmagania tu, na dole, pokonały w jakiś sposób wiatr: że okręt ogarnęła cisza, cisza, wśród której fale z grzmotem uderzały o burty.

Z międzypokładzia wszystko zostało uprzątnięte - cały śmietnik, jak mówili marynarze. Stali teraz, chwiejąc się lekko na nogach, wyprostowani ponad linią głów i zgarbionych pleców. Tu i ówdzie jakiś kulis chwycił spazmatycznie oddech. W miejscach, gdzie padało światło, Jukes dostrzegał to czyjeś sterczące żebra, to żółtą, smutną twarz, pochylone karki albo wlepione w siebie czyjeś tępe spojrzenie. Zdumiewał go brak trupów, wszyscy jednakże sprawiali wrażenie konających, bardziej nawet godnych litości niż umarli.

Nagle jeden z kulisów przemówił. Światło prześlizgiwało się po jego wyniszczonej, napiętej twarzy; odrzucił głowę do tyłu jak ujadający pies. Z bunkra dolatywał odgłos stukania i brzęk turlających się dolarów. Kulis wyciągnął rękę; z czarnej jamy jego otwartych ust wydobyło się niezrozumiałe, gardłowe pohukiwanie, nie mające, zdawałoby się, nic wspólnego z ludzką mową, i Jukesa ogarnęło dziwne uczucie, jakby słuchał zwierzęcia usiłującego mówić. Dwóch innych zaczęło wygłaszać coś, co Jukesowi wydało się ostrymi pogroźkami; pozostali poruszyli się, chrząkając i pomrukując. Rozkazał marynarzom szybko opuścić międzypokład. Sam wyszedł ostatni, wycofując się tyłem, podczas gdy szemrania zmieniały się w głośne pomruki i ręce wyciągały się za nim jak za złoczyńcą. Bosman zaryglował drzwi i zauważył niepewnie:

- Zdaje się, panie poruczniku, że wiatr ustał.

Marynarze radzi byli z powrotu na korytarz. W skrytości ducha każdy z nich myślał, że w ostatniej chwili mógłby wypaść na pokład - i ta myśl dodawała im otuchy. Było coś szczególnie odrażającego w wizji tonięcia pod pokładem. Teraz, kiedy rozprawili się z Chińczykami, od nowa zaczęli sobie uświadamiać sytuację statku.

Wyszedszy z korytarza, Jukes znalazł się po szyję w szumiącej wodzie. Dotarł na mostek i stwierdził, że może rozróżnić niewyraźne cienie, jakby w nadprzyrodzony sposób wyostrzył mu się wzrok. Widział jakieś słabe kontury. Nie przypominały one znanego kształtu okrętu, tylko coś podobnego do ogołoczonego kadłuba parowca, gnijącego na błotnistej łasze, który widział przed laty. "Nan-Shan" przypominał mu właśnie ten wrak.

Nie było wiatru ani nawet podmuchu, tylko słabe prądy powietrza wywołane nagłymi przechyłami bocznymi. Dym, wypychany przez komin, kładł się po pokładzie. Wdychał go, idąc na przód mostka. Czuł regularne pulsowanie maszyn i słyszał ciche odgłosy, jakby pozostałości po wielkim łoskocie; stukanie połamanego osprzętu, szybkie toczenie się jakiejś oderwanej części po mostku. Dostrzegł niewyraźny zarys krępej sylwetki kapitana, który trzymał się wygiętej poręczy na skrzydle mostka, rozkołysany, a nieruchomy, jakby wrośnięty

stopami w deski pokładu. Nieoczekiwana cisza przytłaczała Jukesa.

- Zrobiliśmy, co pan kazał - wysapał.

- Tak się spodziewałem - odpowiedział kapitan MacWhirr.

- Naprawdę? - mruknął Jukes do siebie.

- Wiatr ustał nagle - ciągnął kapitan. Jukes wybuchnął:

- Jeśli pan myśli, że to było takie łatwe...

Ale kapitan, uczepiony poręczy, puścił jego słowa mimo uszu.

- Sądząc z książek, najgorsze jeszcze nas czeka.

- Gdyby większość z nich nie była na pół żywa od choroby morskiej i strachu, żaden z nas nie wyszedłby cało z międzypokładu - powiedział Jukes.

- Musiałem być dla nich sprawiedliwy - wymamrotał MacWhirr spokojnie. - Nie wszystko można znaleźć w książkach.

- Ale jestem pewien, że rzuciliby się na nas, gdybym nie kazał marynarzom szybko się wynieść - ciągnął gorączkowo Jukes.

Po krzykach, które brzmiały jak szepty, teraz, w przedziwnej ciszy powietrza, ich normalne głosy dźwięczały nieoczekiwanie wyraźne i donośne. Zdawało im się, że rozmawiają w ciemnej piwnicy, echem odbijającej słowa.

Przez postrzępioną szczelinę w pułapie chmur migotało parę gwiazd, oświetlając czarne fale, piętrzące się i opadające we wszystkich kierunkach. Czasami czub wodnego słupa wpadał przez burtę i mieszał się z zamiecią piany na zalany wodą pokładzie; "Nan-Shan" poruszał się ociężale na spodzie kolistej cysterny z chmur. Było coś niepojęcie złowrogiego w tym pierścieniu z gęstych oparów wirujących wściekle wokół ośrodka ciszy w oku tajfunu, w którym znajdował się statek, okalających go czymś w rodzaju nieruchomego, nieprzerwanego muru. W tym oku morze, jakby poruszane wewnętrznym niepokojem, tryskało w górę czubami kopców wodnych, które zderzały się ze sobą i ciężko biły o burty okrętu; spoza kręgu złowieszczej ciszy dolatywał cichy, przeciągły jęk, jakby nie kończąca się skarga rozszalałych żywiołów. Kapitan MacWhirr milczał, zaś Jukes wyłowił raptem natężonym uchem ledwo dosłyszalny, zdławiony ryk jakiejś ogromnej fali, która gnała okryta gęstym mrokiem, zamykającym tak straszliwie jego pole widzenia.

- Oczywiście - zaczął z urazą w głosie. - Oni myśleli, że skorzystaliśmy z okazji, aby ich ograbić. To jasne! Powiedział pan - zbierzcie pieniądze. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Skąd mogli wiedzieć, o co nam idzie? Machnęliśmy się w sam środek. Trzeba było działać piorunem.

- Najważniejsze, że już załatwione... - mamrotał kapitan, nie próbując nawet spojrzeć na Jukesa. - Musiałem być dla nich sprawiedliwy.

- Jeszcze nam sadła za skórę zaleją, kiedy to się skończy - powiedział Jukes bardzo rozdrażniony.

- Niech tylko trochę wrócą do siebie, a pan zobaczy. Rzucą nam się do gardła, panie kapitanie. Niech pan pamięta, że "Nan-Shan" nie jest już teraz brytyjskim statkiem. Te bydlaki świetnie o tym wiedzą. Przeklęta syjamska bandera.

- Tak czy inaczej, my jesteśmy na statku - zauważył kapitan MacWhirr.

- Jeszcze nie koniec z kłopotami - prorokował uparcie Jukes, zataczając się i chwytając poręczy. - To już jest wrak -dodał cicho.

- Jeszcze nie koniec z kłopotami - zgodził się kapitan MacWhirr półgłosem. Uważaj pan

przez chwilę na statek.

- Schodzi pan z pokładu, panie kapitanie? - pośpiesznie zapytał Jukes, jakby miał pewność, że sztorm rzuci się na niego, skoro tylko zostanie sam.

Przyglądał się statkowi, jak skołatany i samotny brnął ociężale przez dziki krajobraz czarnych gór wodnych, oświetlanych blaskami z dalekich światów. Sunął powoli, wydychając w ciszę huraganowego rdzenia nadmiar własnej energii - biały kłęb pary. Niski, wibrujący dźwięk ulatniającej się pary był podobny do wojowniczego trąbienia jakiegoś morskiego stworu, niecierpliwie oczekującego wznowienia walki. Ustał nagle. Nieruchome powietrze zajęczało. Nad głową Jukesa kilka gwiazd oświetlało jamę z czarnych oparów. Spod skrawka iskrzącego się nieba atramentowy brzeg chmury marszczył się groźnie na statek. Również i gwiazdy zdawały się przyglądać z napięciem, jakby po raz ostatni; ich grupka lśniła osadzona jak diadem nad zwisającą brwią chmury.

Kapitan MacWhirr wszedł do kabiny nawigacyjnej. Mimo ciemności wyczuwał nieład w pomieszczeniu, w którym zawsze dbał o porządek. Fotel był wywrócony. Książki leżały zwalone na podłodze. Kawalek szkła chrupnął mu pod butem. Po omacku szukał zapatek i znalazł pudełko na półce obitej wysoką listwą. Zapalił zapalniczkę i mrużąc oczy, zbliżył płomyk do barometru, którego lśniącą pokrywa ze szkła i metalu kiwała się ustawicznie w jego stronę. Barometr stał bardzo nisko - niewiarygodnie nisko, tak nisko, że kapitan MacWhirr chrząknął. Zapalniczka zgasła i pośpiesznie wyciągnął następną grubymi, zeszywniałymi palcami. I znów płomyk zabłysnął przed kiwającym się szkłem i metalem pokrywy. Aż mu się oczy zwęziły od natężenia, z jakim wpatrywał się niby w wyczekiwaniu jakiegoś niedostrzegalnego znaku. Ze swoją poważną twarzą przypominał obutego, niekształtnego poganina, palącego kadzidło przed wyrocznym bożkiem. Nie, nie mylił się. Był to najniższy stan barometru, jaki kiedykolwiek widział.

Kapitan MacWhirr wydał cichy gwizd. Zapomniał się do tego stopnia, że płomyk, skurczywszy się do błękitnej iskry, sparzył go w palce i znikł. Może coś się popsuło w instrumencie! Nad kanapką przykręcony był barometr aneroidalny. Kapitan zwrócił się w tamtą stronę, zapalił następną zapalniczkę i odnalazł oczami jego białą tarczę, patrzącą ze ścianki grodziowej znacząco,

niezaprzeczalnie, jak gdyby obojętność przedmiotów martwych chroniła mądrość ludzi przed błędzeniem. Nie było już żadnej wątpliwości. Kapitan MacWhirr parsknął ze złością na aneroid i odrzucił zapalniczkę.

A więc najgorsze jeszcze ich czekało, a jeśli książki mówią prawdę, owo najgorsze będzie naprawdę bardzo złe. Doświadczenie ostatnich sześciu godzin pogłębiło wiedzę kapitana o sztormach. "To będzie okropne" - powiedział sobie w duchu. W świetle zapalniczek przyglądał się co prawda tylko barometrowi, ale zauważył jakoś, że karafka i oba kubki wyleciały z uchwytów. Uzmysłowiło mu to jeszcze dokładniej, jak sztorm ciskał okrętem. "Nigdy bym nie uwierzył" - pomyślał. Stół był również wymieciony; jego linijki, ołówki, kałamarz - wszystkie te przedmioty miały swoje własne, zabezpieczone miejsca - znikły, jakby jakaś złośliwa ręka zrzuciła je po kolei na mokrą podłogę. Huragan wdarł się w ustalony porządek jego prywatnego życia. Nigdy dotychczas czegoś takiego nie przeżył i uczucie konsternacji głęboko zachwiało jego równowagę ducha. A najgorsze jeszcze ich czeka! Zadowolony był, że w porę odkryto awanturę na międzypokładzie. Nawet jeśli statek w końcu zatoni, to przynajmniej nie pójdzie na dno z tłumem ludzi walczących zębami i pazurami. To byłoby ohydne. Kryła się w tej myśli humanitarna intencja i mgliste poczucie stosowności.

Zgodnie z naturą kapitana te przelotne myśli toczyły się ociężale i powolnie. Wyciągnął rękę, by odłożyć w róg półki pudełko zapalniczek. Było to ich ustalone miejsce - tak rozkazał. Steward od dawna miał to wbite w głowę. "Pudełko... o, właśnie tu. Widzicie? Niezbyt pełne... tak, żebym mógł dosięgnąć ręką. Mogę na gwałt potrzebować światła. Na statku nie da się przewidzieć, co może być gwałtem potrzebne. Więc pamiętajcie".

Sam też pamiętał, żeby je zawsze skrupulatnie odłożyć na miejsce. Zrobił tak i teraz, ale zanim cofnął rękę, przyszło mu na myśl, że może już nigdy więcej nie użyje tego pudełeczka. Myśl była tak żywa, że znieruchomiał i przez ułamek sekundy zatrzymał w palcach ów przedmiocik, jakby to on był symbolem wszystkich drobnych nawyków, jakie przykuwają nas do żmudnej drogi życia. Wypuścił je wreszcie z ręki i opadłszy na kanapkę, nasłuchiwał pierwszych odgłosów powracającego wiatru.

Jeszcze nie. Słyszał tylko szum wody, ciężkie rozbryzgi i głucho uderzenia różnokierunkowych fal wdzierających się ze wszystkich stron na statek. Woda nie mogłaby nawet spłynąć z pokładu.

Ale cisza powietrza drgała napięciem i niepokojem, niby cienki włos utrzymujący miecz nad jego głową. Okropna przerwa w wichurze złamała jego samoobronę i otworzyła mu usta. Samotny, pogrążony w nieprzejranej ciemności kabiny, przemówił, jakby zwracając się do drugiej istoty, która ocknęła się w nim samym.

- Nie chciałbym go stracić - powiedział półgłosem. Siedział niewidzialny, oderwany od morza i statku, odosobniony, jakby wycofał się z nurtu własnej

egzystencji, gdzie z pewnością nie było miejsca na takie wybryki jak rozmawianie ze sobą samym. Dłonie złożył na kolanach, zgiął krótką szyję i dyszał ciężko, poddając się dziwnemu znużeniu, nieświadom zresztą, że wyływa ono z nerwowego napięcia. Z miejsca, gdzie siedział, mógł dosięgnąć drzwi od umywalni. Powinien tam być jakiś ręcznik. Był. To dobrze... Wyjął go, osuszył twarz, a potem zaczął trzeć mokrą głowę. Wycierał się energicznie w ciemności, a skończywszy, siedział nieruchomo z ręcznikiem na kolanach. W kabinie nastąpiła chwila tak niezmałconej ciszy, iż nikt by się tam nie domyślił obecności człowieka. Potem rozległ się szept.

- Może jednak przetrzyma.

Kiedy kapitan MacWhirr wyszedł na mostek - a uczynił to tak gwałtownie, jakby sobie nagle zdał sprawę, że zbyt długo przesiedział w kabinie nawigacyjnej - cisza trwała już od ponad piętnastu minut, wystarczająco długo, by stać się nie do zniesienia, nawet dla człowieka o takiej wyobraźni jak jego. Jukes, nieruchomy na przedzie mostka, natychmiast zaczął mówić. Jego głos, matowy i wymuszony, jakby wydobywał się zza zaciśniętych zębów, zdawał się rozpląwać w ciemności na wszystkie strony i skupiać nad wodą.

- Zmieniłem sternika. Hackett jęczał, że jest wykończony.

Leży blady jak śmierć tam koło urządzenia sterowego. Z początku nie mogłem znaleźć nikogo, kto by wylaźł i zastąpił tego biedaka. Bosman jest do niczego, zawsze mówiłem. Myślałem już, że sam będę musiał pójść i wyciągnąć któregoś za kark.

- No, tak... - mruknął kapitan. Stał czujnie obok Jukesa.

- Drugi też tam jest. Trzyma się za głowę. Czy on jest ranny, panie kapitanie?

- Nie, obłąkany - odparł zwięźle kapitan MacWhirr.

- Ale wygląda, jakby się wywalił.

- Musiałem go odepchnąć - wyjaśnił kapitan. Jukes sapnął niecierpliwie.

- Zacznie się zupełnie nagle - powiedział kapitan MacWhirr. - Zdaje mi się, że z tamtej strony, ale Pan Bóg raczy wiedzieć. Te książki mieszają tylko w głowie i napędzają strachu. Będzie źle, i tyle. Gdyby nam się tylko udało na czas ustawić dziobem... Minęła minuta. Niektóre gwiazdy zamigotały szybko i znikły.

- Zostawił ich pan jako tako zabezpieczonych? - zaczął kapitan szorstko, jakby nie mogąc znieść milczenia.

- Myśli pan o kulisach, panie kapitanie? Poprzeciągałem we wszystkich kierunkach liny ubezpieczające na międzypokładzie.

- Tak? Miał pan dobry pomysł.

- Nie wiedziałem... że pana to... ciekawi - odparł Jukes; przechyły statku przerywały mu mowę, jakby nim ktoś potrząsał - jak sobie poradziłem... z tą

diabelną robotą. Ale zrobiło się. W końcu tak może to nie mieć znaczenia.

- Musiałem postąpić, jak się należy, chociaż to tylko Chińczycy. Do diabła, niech mają taką samą szansę co my. Nie jesteśmy jeszcze straceni. Już i tak dosyć, że są zamknięci na dole podczas sztormu...

- Tak też pomyślałem, kiedy pan mi dał ten rozkaz - wtrącił Jukes nadąsany.

- ...nawet bez rozrywania się na kawałki - ciągnął kapitan MacWhirr coraz gwałtowniej.

- Nie mogłem pozwolić, żeby coś takiego działo się na moim statku, nawet gdyby miał zatonać za pięć minut. Nie zniósłbym tego, proszę pana.

Głuchy, dudniący łoskot, jak krzyk odbity echem w skalnym parowie, zbliżył się do statku i znów oddalił. Ostatnia gwiazda, zamazana i powiększona, jak gdyby powracała do pierwotnej formy ognistej mgławicy, walczyła z nieprzeniknioną głębią mroku wiszącą nad statkiem - i zgasła.

- Zaczyna się! - mruknął kapitan MacWhirr. - Panie Jukes.

- Słucham, panie kapitanie.

Obaj stawali się dla siebie coraz mniej widoczni.

- Musimy wierzyć, że statek to przetrzyma i przebije się na drugą stronę. To jedno jest jasne. Nie ma teraz czasu na strategię sztormową kapitana Wilsona.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Znów będzie nas zatapiać i zalewać godzinami - mamrotał kapitan. - Już i tak niewiele zostało falom do zabrania z pokładu - chyba pan albo ja.

- My obaj, panie kapitanie - szepnął Jukes bez tchu.

- Pan się zawsze martwi na zapas - padła z ust kapitana osobliwa uwaga. - Ale to prawda, że drugi jest do niczego. Słyszysz pan, panie Jukes? Zostanie pan sam, jeśli... Kapitan MacWhirr urwał, a Jukes milczał, rozglądając się na wszystkie strony.

- Niech się pan nie da niczym zbić z tropu - ciągnął kapitan, mamrocząc pośpiesznie. - Musimy iść wprost na falę. Niech sobie mówią, co chcą, ale największe fale idą z wiatrem. Pod wiatr - ciągle pod wiatr - to jedyny sposób, żeby się przebić. Jest pan młodym żeglarzem. Zawsze pod wiatr. Wystarczy tylko o tym pamiętać. Nie tracić głowy.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział Jukes z drżeniem w sercu. W chwilę potem kapitan powiedział coś do maszynowni i otrzymał odpowiedź. Nie wiadomo dlaczego, spłynął na Jukesa skądś z zewnątrz jakby ciepły powiew ufności i poczuł się gotów sprostać każdemu zadaniu. Uchem chwycił dalekie pomruki ciemności. Słuchał ich nieporuszony, pełen wiary w siebie, jak człowiek chroniony kolczugą wpatrywałby się w ostrze przeciwnika.

Statek pracował ciągle pośród czarnych gór wodnych, ciężkimi wstrząsami okupując swoje istnienie. Z głębi dochodziło głuche dudnienie, biały pióropusz



pary ulatywał w noc, a myśli Jukesa jak ptaki fruwały po maszynowni, gdzie Rout - porządny człowiek - trwał na posterunku. Kiedy dudnienie ustało, Jukes miał wrażenie, że wraz z nim umilkły wszelkie dźwięki. Nastąpiła śmiertelna cisza, w której zaskakująco zabrzmiał głos kapitana MacWhirra.

- Co to? Podmuch? - mówił o wiele donośniej, niż Jukes kiedykolwiek słyszał. - Od dziobu. To dobrze. Może jednak wyjdziemy cało.

Pomruki wiatru stawały się coraz bliższe. Jakaś monotonna, budząca się ze snu skarga przelatywała nad dziobem, a w oddali potęgował się, narastał i rozpościerał skrzydła wielogłosowy tumult. Tętnił jakby setkami werbli, wściekłym galopem i melodią ciężkiego marszu niezliczonych stóp.

Jukes nie mógł już rozróżnić wyraźnie sylwetki kapitana. Ciemność dosłownie zwała się na statek. Mógł się ledwie domyślać ruchów kapitana, zarysu jego rozpostartych łokci, odrzuconej do tyłu głowy. Kapitan MacWhirr z niezwykłym pośpiechem usiłował zapiąć górny guzik nieprzemakalnego płaszcza. Huragan, który posiadał moc wprawiania w furję morza, zatapiania okrętów, wyrywania z korzeniami drzew, obalania potężnych murów, a nawet strącania ptaków w locie, napotkał na swojej drodze tego milkliwego człowieka i nateżając wszystkie siły, zdołał z niego wyrwać parę słów. Nim nowy gniew wiatru runął na statek, kapitan MacWhirr oświadczył rozdrażnionym tonem:

- Nie chciałbym go stracić.

Ominęła go ta przykrość.

W jasny, słoneczny dzień, z bryzą, która zdmuchiwała dym daleko do przodu, "Nan-Shan" wpłynął do Fuczou. Na brzegu natychmiast zauważono jego przybycie i marynarze w porcie wymieniali uwagi: "Patrzcie! Patrzcie na ten parowiec. Co to? Syjamski, nie? Popatrzcie, jak on wygląda!"

Istotnie, statek wyglądał tak, jakby służył był za ruchomy cel dla mniejszych dział krążownika. Grad pocisków średniego kalibru nie mógłby bardziej skutecznie rozbić, poszarpać i zdemolować jego nadbudówek. "Nan-Shan" przypominał udręczone i znękanie statki powracające z końca świata - i słusznie, bo w czasie krótkiego rejsu odbył daleką drogę, dobijając niemal do brzegów Tamtej Strony, skąd nigdy żaden statek nie wrócił, aby ciała swojej załogi powierzyć prochom ziemi. Aż po szczyt komina, po czubki masztów oblepiony był szarą solą. Wyglądał - wyraził się jakiś dowcipny marynarz "jakby go ci faceci wyciągnęli skądś z dna morskiego i przywlekli tutaj po nagrodę za uratowane mienie". I rad z trafnego dowcipu dodał, że sam da za niego pięć funtów - "tak jak jest".

"Nan-Shan" nie stał jeszcze nawet godziny w porcie, kiedy jakiś drobny, chuderlawy człowiek z zaczerwienionym czubkiem nosa i zastygłą w gniewie twarzą dobił w sampanie do nabrzeża zagranicznego i natychmiast zaczął wygrażać statkowi pięścią. Wysoki dryblas o wodnistych oczach i nogach zbyt chudych w stosunku do okrągłego brzucha podszedł do niego i zagadnął:

- Już na lądzie, co? Szybko poszło.

Miał na sobie poplamione ubranie z granatowej flaneli i brudne, sportowe buty; siwy zarost zwisał mu niechlujnie nad wargą, a przez dwie dziury w kapeluszu prześwitywało światło.

- Halo! Co ty tu robisz? - spytał były drugi oficer z "Nan-Shanu", pośpiesznie ściskając mu rękę.

Szukam pracy - warto spróbować - dano mi do zrozumienia... - wytłumaczył człowiek w zniszczonym kapeluszu. Mówił urywanymi zdaniami, sapiąc apatycznie. Drugi znowu pogroził pięścią w stronę "Nan-Shanu".

Jest tam taki jeden, co nawet krypą nie powinien dowodzić - oświadczył, trzęsąc się ze złości, podczas gdy jego rozmówca rozglądał się obojętnie.

- Naprawdę?

Ale w tej chwili dojrzał na nabrzeżu ciężką skrzynkę marynarską, pomalowaną na brązowo i pokrytą obrębionym płótnem żaglowym, przewiązaną nową linką manilową. Obudziła w nim żywe zainteresowanie.

- Już ja bym im wygarnął, gdyby nie ta przeklęta syjamska bandera. Nie ma do kogo pójść, inaczej to bym zadał bobu. Oszust! Powiedział pierwszemu mechanikowi - drugi taki sam oszust - że straciłem głowę. To najgorsza banda

durniów, jaka kiedykolwiek pływała po morzu. Nie! Nawet sobie nie wyobrażasz...

- Dostałeś pieniądze jak należy? - spytał nagle obdartus.

- Tak. Wypłacili mi na statku - miotał się drugi. - Zjecie sobie śniadanie na ładzie, powiada.

- Łajdaki - zdecydował w roztargnieniu wysoki, zwilżając językiem usta. - Może byśmy się tak czegoś napili?

- Uderzył mnie - wysyczał drugi.

- Co? Co mówisz? Uderzył? - Człowiek w granatowym ubraniu zaczął okazywać większe zrozumienie. - Tu nie można rozmawiać. Musisz mi wszystko opowiedzieć. Uderzył - co? Znajdźmy kogoś, by zaniósł skrzynkę. Znam taką jedną dziurę, gdzie mają butelkowane piwo...

Jukes, który obserwował brzeg przez lornetę, powiedział potem pierwszemu mechanikowi, że "nasz były drugi już sobie znalazł kompana. Jakiś facet wyglądający na obwiesia. Widziałem, jak razem odchodzili z nabrzeża".

Stukania i łomotania przy koniecznych naprawach statku nie przeszkadzały kapitanowi MacWhirrowi. W liście, który napisał w uporządkowanej kabinie nawigacyjnej, steward natrafił na tak interesujące miejsca, że dwukrotnie został nieomal złapany na gorącym uczynku. Ale pani MacWhirr, siedząc w saloniku swego domu za czterdzieści funtów rocznie, stłumiła ziewnięcie - pewnie przez szacunek dla samej siebie, była bowiem sama w pokoju. Spoczywała na złoconym, obitym pluszem szezlongu, stojącym w pobliżu kafelkami okolonego kominka, na którym żarzyły się węgle; półteczkę nad paleniskiem zdobiły japońskie wachlarze. Unosiła ręce, przerzucając ze znużeniem kartki długiego listu. To przecież nie jej wina, że był tak banalny, tak zupełnie nieciekawym, począwszy od "Moja ukochana żono", a skończywszy na "Twój kochający mąż". Nikt nie mógł od niej wymagać, żeby znała się na wszystkich tych okrętowych sprawach. Naturalnie wiadomości od męża sprawiały jej przyjemność, ale właściwie nigdy się nie zastanawiała, dlaczego.

"...Nazywają je tajfunami... Pierwszemu niezbyt się to podobało... Nie ma w książkach... Nie mogłem na to pozwolić..." Papier szeleścił głośno. "...Cisza, która trwała ponad dwadzieścia minut", czytała niedbale; a następne słowa, które wpadły jej w oczy, to górne zdanie na innej stronie: "zobaczyć znowu Ciebie i dzieci..." Poruszyła się zniecierpliwiona. Wciąż myślał o powrocie do domu. Nigdy jeszcze nie miał tak wysokiej pensji. O co mu teraz chodzi?

Nie przyszło jej do głowy spojrzeć na poprzednią kartkę. Dowiedziałaaby się z niej, że między czwartą a szóstą rano 25 grudnia kapitan MacWhirr sądził, że jego statek nie przetrzyma ani godziny dłużej i że nigdy już więcej nie zobaczy żony i dzieci. Nikt się o tym nie dowiedział (jego listy szybko się gdzieś zapodziały) - nikt z wyjątkiem stewarda, na którym to odkrycie zrobiło wielkie wrażenie. Takie, że usiłując wytłumaczyć kucharzowi, Jak bardzo

wszystko wisało na włosku", oświadczył uroczyście: "sam stary uważał, że mamy cholernie małe szansę".

- A skąd ty to wiesz? - pogardliwie spytał kucharz, dawny żołnierz. - Sam ci to powiedział, co?

- No, dał mi do zrozumienia - bezczelnie zareplikował steward.

- Ech, nie wygłupiaj się! Niedługo pewnie mnie się zaczniesz zwierzać - drwiąco rzucił przez ramię stary kucharz. Pani MacWhirr przeglądała list dalej, z większą uwagą. "...Postąpić, jak należy... Nieszczęsne stworzenia... Tylko trzech, każdy ze złamaną nogą, a jeden... Sądziłem, że lepiej nie rozgłaszać... mam nadzieję, że postąpiłem, jak należy..."

Opuściła ręce na kolana. Nie, nie było nic więcej o powrocie do domu. Widocznie wyrażał tylko swoje pobożne życzenie. Pani MacWhirr odzyskała spokój ducha, a zegar z czarnego marmuru, oceniony przez miejscowego zegarmistrza na trzy funty osiemnaście szylingów i sześć pensów, tykał dyskretnie.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i do pokoju wpadła dziewczynka; była w wieku długich nóg i krótkich spódniczek. Bezbarwne, niemal zupełnie proste włosy spadały jej na ramiona. Na widok matki przystanęła i z wyrazem zaciekawienia w wodnistych oczach utkwiała wzrok w liście.

- Od ojca - mruknęła pani MacWhirr. - Coś zrobiła ze wstążką?

Dziewczynka dotknęła rękami włosów i nadąsała się.

- Miewa się dobrze - ciągnęła ospale pani MacWhirr. - Przynajmniej tak mi się wydaje. Nigdy nie pisze wyraźnie. - Zaśmiała się krótko. Twarz dziewczynki wyrażała roztargnioną obojętność, a pani MacWhirr przypatrywała się córce z macierzyńską dumą.

- Idź, włóż kapelusz - powiedziała po chwili. - Wychodzę na sprawunki. U Linoma jest wyprzedaż.

- Och, to wspaniale! - głośno zawołało dziecko zaskakująco poważnym, wibrującym głosem i wybiegło z pokoju.

Popołudnie było pogodne; niebo szare i chodniki suche. Przed sklepem z materiałami pani MacWhirr ucieszyła się na widok jakiejś obfitych kształtów jejmości, opancerzonej dżetami i uwieńczonej bukietem sztucznych kwiatów, rozkwitających nad żółciowym obliczem matrony. Wybuchły szybką paplaniną powitań i okrzyków, mówiąc jednocześnie i tak prędko, jakby się obawiały, że ulica zacznie ziewać i pochłonie całą przyjemność, nim zdążą ją wyrazić. Wysokie szklane drzwi za nimi były w nieustannym wahadłowym ruchu. Ludzie nie mogli przejść, mężczyźni cierpliwie czekali z boku, a Lydia była pochłonięta wtykaniem końca parasolki między płyty chodnika. Pani MacWhirr mówiła pośpiesznie.

- Dziękuję pani bardzo. Jeszcze nie wraca. Naturalnie to bardzo przykre, że

jest tak daleko, ale pociesza mnie myśl, że się tak dobrze miewa. - Pani MacWhirr nabrała tchu. - Tamten klimat dobrze mu robi - dodała, promieniejąc, jakby jej biedny małżonek pływał po chińskich wodach dla zdrowia.

Pierwszy mechanik również jeszcze nie wracał do kraju. Rout potrafił ocenić dobrą posadę.

- Salomon pisze, że dziwom nie ma końca - radośnie wykrzykiwała pani Rout do staruszki siedzącej w fotelu koło kominka. Matka Routa poruszyła się lekko. Zwiędłe dłonie w czarnych mitenkach oparła na kolanach.

Oczy żony pierwszego mechanika biegały po papierze.

- Salomon powiada, że kapitan tego statku, na którym on pływa, raczej tępawy człowiek - przypomina sobie mama -zrobił coś bardzo mądrego.

- Tak, moja droga - odpowiedziała staruszka łagodnie, siedząc ze spuszczoną siwą głową i z wyrazem wewnętrznego skupienia, jakie cechuje bardzo starych ludzi, którzy zdają się wpatrywać w ostatnie przebłyski swego życia. - Zdaje mi się, że sobie przypominam. Salomon Rout, Stary Sal, Papa Sal, Chief, porządny człowiek - pan Rout, pobłażliwy i ojcowski przyjaciel młodzieży, był najmłodszym ze wszystkich jej licznych dzieci i jedynym, który jeszcze żył. Pamiętała go najlepiej jako dziesięcioletniego chłopca, zanim jeszcze wyjechał na praktykę do jakiegoś wielkiego zakładu mechanicznego na północy kraju. Od tej pory widywała go tak rzadko i tyle minęło już lat, że bardzo daleko musiała cofać się pamięcią, by móc wydobyć jego obraz z zasnutej mgłą przeszłości. Chwilami miała wrażenie, że synowa opowiada o jakimś obcym człowieku.

Młodsza pani Rout była rozczarowana.

- Hm, hm. - Odwróciła kartkę. - Ależ to irytujące! Nie mówi, o co chodzi. Uważa, że nie zrozumiałabym, jakie to było mądre. Też pomysł! Cóż to mogło być takiego mądrego? Ależ on nieznośny, żeby nie napisać!

Czytała dalej spokojnie, już bez żadnych uwag, a skończywszy, wpatrzyła się w ogień. Pierwszy mechanik wspomniał tajfun tylko w paru słowach; coś jednak skłoniło go do wyrażenia wzmożonej tęsknoty za towarzystwem wesołej żony. "Gdyby nie to, że mama musi mieć opiekę, to dziś jeszcze wysłałbym Ci pieniądze na podróż. Mogłabyś urządzić się tu w jakimś domku. Miałbym wtedy możliwość widywania Cię czasami. Lat nam przecież nie ubywa..."

- Jest zdrów, mamó - westchnęła pani Rout, wstając.

- Zawsze był z niego silny, zdrowy chłopak - odpowiedziała pogodnie staruszka. Naprawdę bardzo żywe i pełne szczegółów było natomiast sprawozdanie Jukesa. Jego przyjaciel, służący na Atlantyku, podzielił się otrzymanymi wiadomościami z innymi oficerami statku.

- Pisze mi jeden facet o niesamowitej historii, która się wydarzyła na jego parowcu podczas tajfunu - wiecie, czytaliście o nim w pismach dwa miesiące

temu. Niesamowita draka! Sami się przekonacie. Pokażę wam jego list.

Były tam zdania, które miały za cel wywołanie wrażenia beztrioskiej, a nieugiętej rezolucyjności. Jukes napisał je w dobrej wierze, bo tak właśnie czuł, pisząc list. W budzący grozę sposób opisał scenę na międzypokładzie. "...Zdałem sobie błyskawicznie sprawę, że ci przekłeci Chińczycy nie mogli wiedzieć, że nie jesteśmy bandą obłąkanych rozbójników. Wcale niełatwo odebrać Chińczykom pieniądze, jeśli są w większości. Chyba tylko naprawdę obłąkani chcieliby rabować podczas takiego sztormu, ale cóż ci biedacy mogli o nas wiedzieć? Więc niewiele myśląc kazałem się marynarzom szybko związać. Zrobiliśmy, co trzeba, tak jak stary tego chciał. Wynieśliśmy się stamtąd, nie pytając ich o zdrowie. Jestem przekonany, że gdyby nie byli tak niemiłosiernie skołatani i gdyby każdy z nich z osobna nie bał się postawić, rozerwaliby nas w kawałki. Ho ho! A mało brakowało, zapewniam Cię; możesz do końca życia pływać tam i na powrót po swoim bajorze i nigdy czegoś podobnego nie przeżyjesz". Potem wspomniał fachowo o uszkodzeniach statku i ciągnął dalej: "Dopiero jak sztorm ucichł, sytuacja zrobiła się cholernie napięta. Pogarszało sprawę to, że ostatnio przeszliśmy pod syjamską banderę, chociaż kapitan nie widzi różnicy - «dopokąd my jesteśmy na pokładzie» - powiada. Są pewne rzeczy, których ten człowiek po prostu nie rozumie i tyle. Równie dobrze mógłbyś tłumaczyć nodze stołowej. Poza tym taki statek jest diabło osamotniony, kiedy pływa po chińskich wodach i nie ma ani konsula, ani własnej kanonierki, ani w ogóle żywego ducha, żeby się w potrzebie móc zwrócić. Moim zdaniem trzeba było przetrzymać tych kitajców w zamknięciu przez następne piętnaście czy ileś tam godzin, bo tyleśmy mieli do Fuczou. Tam znalazłby się pewnie jakiś okręt wojenny i w zasięgu jego dział byłibyśmy dość bezpieczni; niewątpliwie każdy kapitan takiego okrętu - Anglik, Francuz czy Holender - pomógłby białym na wypadek jakiejś awantury. Potem pozbylibyśmy się ich i ich pieniędzy, zdając wszystko jakiemuś mandarynowi albo Taotai, czy jak tam się nazywają ci faceci w okularach, których się widuje obnoszonych w lektykach po ich śmierdzących ulicach.

Ale stary jakoś nie chciał się zgodzić. Zależało mu, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu. Kiedy mu raz jakaś myśl utkwi we łbie, to nawet windą kotwiczną nie wyciągniesz. Chciał uniknąć wszelkiego zamieszania ze względu na dobre imię okrętu i na armatorów - «ze względu na wszystkich zainteresowanych» - powiada, patrząc na mnie surowo. Aż mi się gorąco zrobiło ze złości. Przecież nie można było utrzymać tego w tajemnicy, kuferki zaś były zabezpieczone jak należy i przetrwałyby każdy zwykły sztorm - tylko że to było prawdziwe piekło, którego Ci nawet nie potrafię opisać.

Ledwo się mogłem utrzymać na nogach. Nikt z nas nie miał ani chwili wypoczynku od prawie trzydziestu godzin, nasz stary siedział i drapał się w brodę, i drapał się w głowę, i taki był przejęty, że nie pomyślał nawet o zdjęciu swoich długich butów.

«Mam nadzieję, panie kapitanie - powiedziałem - że nie wypuści ich pan na pokład, dopóki nie będziemy na to jakoś przygotowani» Nie myśl zresztą, że byłem taki bardzo pewien naszej wygranej, gdyby się obdartusy zbuntowały. Z ładunkiem Chińczyków lepiej nie zadzierać. Zresztą byłem cholernie zmęczony. «Najlepiej gdyby pan kapitan pozwolił nam wrzucić im wszystkie ich dolary - powiedziałem - i niech się o nie sami biją, a my trochę odsapniemy».

«Gada pan dzikie brednie, panie Jukes - on na to i patrzy przeciągle w taki sposób, że aż skóra cierpie na człowieku. -Musimy wymyślić coś takiego, co by dla wszystkich było sprawiedliwe».

Jak sobie możesz wyobrazić, miałem huk roboty, więc pogoniłem załogę, a potem chciałem trochę się zdrzemnąć. Nawet dziesięciu minut nie spałem, kiedy wpadł steward i ciągnie mnie za nogę.

«Na miłość boską, panie poruczniku, prędko. Niech pan prędko leci na pokład. Oj, proszę się śpieszyć!»

Facet wystraszył mnie, że aż zgłupiałem. Nie wiedziałem, co się stało: następny huragan - czy co? Nie słyszałem wiatru.

«Kapitan ich wypuszcza. O rany, on ich wypuszcza! Niech pan biegnie na pokład i nas ratuje. Główny mechanik skoczył właśnie do kabiny po rewolwer».

Tak przynajmniej rozumiałem tego durnia. Ale Papa Rout przysięga, że poszedł tylko po czystą chustkę do nosa. Tak czy owak, wskoczyłem jednym susem w spodnie i pogałem na pokład rufowy. Rzeczywircie, przed mostkiem był niezły hałas. Czterech marynarzy z bosmanem pracowało na rufie. Rozdałem im karabiny - każdy statek kursujący po chińskich wodach ma w mesie broń - i poprowadziłem ich na pomost. Po drodze natknąłem się na Starego Sala, który gryzł nie zapalone cygaro i wyglądał nastraszone.

«Chodź pan z nami» - zawołałem na niego.

Wszyscy siedmiu rzuciliśmy się do kabiny nawigacyjnej. Było już po wszystkim. Nasz stary stał wciąż w swoich butach, naciągniętych do bioder, i w samej koszuli - pewnie zrobiło mu się gorąco od myślenia. Obok stał ten fircyk, urzędnik Bun-Hina; brudny był teraz jak kominiarz i zielony na twarzy. Od razu się zorientowałem, że mnie czeka zmycie głowy. «Co, do diabła, znaczą te małpie figle, panie Jukes? - spytał stary, wściekły jak nigdy. Muszę przyznać, że zapomniałem języka w gębie. - Na litość boską, pozabieraj pan ludziom karabiny. Inaczej nieszczęście pewne. Do cholery, ten statek to istny dom wariatów! Uważaj pan teraz: potrzebny jest pan tutaj do pomocy mnie i temu Chińczykowi od Bun-Hina przy liczeniu pieniędzy. Pan, panie Rout, też by się przydał, skoro już pan tu jest. Im nas więcej, tym lepiej».

Wszystko sobie ułożył w głowie podczas mojej drzemki. Gdybyśmy byli angielskim statkiem albo choćby tylko dowozili kulisów do jakiegoś angielskiego portu, na przykład do Hongkongu, nie byłoby końca dochodzeniom i kłopotom, skargom o odszkodowanie i tak dalej. Ale ci

Chińczycy znają swoich urzędników lepiej niż my.

Pokrywy luków były już zdjęte i wszyscy wylegli na pokład po całej dobie spędzonej w zamknięciu. Było coś niesamowitego w widoku tyłu wyniszczonych, dzikich twarzy naraz. Obszarpańcy rozglądali się po niebie, po morzu i statku, jakby oczekiwali, że wszystko rozsypało się w drobny mak. I nic dziwnego! Przeszli przez takie tarapaty, że biały człowiek dawno by już wyzionął ducha. Ale mówią, że Chińczyk nie ma duszy. Ma za to w sobie coś cholernie twardego. Był tam jeden (spośród ciężiej okaleczonych), któremu omalże wybili oko. Sterczało mu z głowy jak pół kurzego jaja. Biały człowiek gdyby tak oberwał, leżałby plackiem przez miesiąc, a ten drab rozpychał się łokciami to tu, to tam, gadał z innymi, jakby nigdy nic. Robili okropny rwetes, ale jak tylko stary pokazywał swoją łysą głowę na pomoście, przestawali pyskować i śledzili go z dołu.

Zdaje się, że kiedy obmyślił swój plan działania, kazał temu facetowi od Bun-Hina zejść na dół i wyjaśnić jedyny sposób odzyskania przez nich pieniędzy. Powiedział mi później, że skoro wszyscy kulisi przepracowali tyle samo czasu w tym samym miejscu, uważał, że najsprawiedliwiej będzie podzielić równo między nich zebrane przez nas pieniądze. Nie można przecież rozpoznać, do kogo który dolar należy, powiedział, a obawiał się, że gdyby pytać każdego kulisa z osobna, ile przyniósł na statek, okłamałoby go i w końcu zabrakłoby pieniędzy. Myślę, że miał rację. Gdyby zaś - powiada - chciał całą forszę oddać jakiemuś chińskiemu urzędnikowi w Fuczou, to równie dobrze mógłby wszystko schować do własnej kieszeni, bo kulisi nic by z tego i tak nie zobaczyli. Przypuszczam, że sami też to rozumieli. Skończyliśmy rozdzielanie przed zmrokiem. Widowisko co się zowie: spiętrzone fale, statek wygląda jak wrak, Chińczycy jeden za drugim wchodzą niepewnie na mostek po swoją część, nasz stary, wciąż w butach i koszuli, wypłaca przy drzwiach do kabiny nawigacyjnej, spocony jak mysz, od czasu do czasu ruga mnie albo Papę Routa, jak coś idzie nie po jego myśli. Pokaleczonym osobiście zaniósł ich należność do luku nr. 2. Zostały trzy dolary, które podzielił między trzech najbardziej poturbowanych - po jednym dla każdego. Potem zabraliśmy się do roboty i wywaliliśmy szuflami na pokład kupy mokrych łachmanów, jakieś szczątki rzeczy, których nie umiałbym nazwać, i zostawiliśmy kitajcom rozstrzygnięcie między sobą, co do kogo należy.

Z pewnością nie można było nic już więcej zrobić bez rozgłosu i dla dobra wszystkich zainteresowanych.

Co o tym sądzisz, ty wypieszczony gogusiu ze statku pocztowego? Stary Sal twierdzi, że oczywiście nie można było inaczej postąpić. Kapitan powiedział mi niedawno:

«Są takie rzeczy, o których nie ma słowa w książkach». Myślę, że bardzo dobrze z tego wybrnął - jak na takiego głuptaka".